



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Eulalia Rudak

Moje wojenne dzieciństwo – rozmowa z babcią

Babciu, Twoja fundacja wydała już 19 książek ze wspomnieniami ludzi, którzy tak jak Ty przeżyli wojnę będąc dziećmi. Jednak w żadnej z tych książek nie pojawia się ani słowo o Twojej historii. Oczywiście my znamy tę historię: przy każdym rodzinnym spotkaniu opowiadasz nam parę wspomnień ze swojego wojennego dzieciństwa oraz odpowiadasz na nasze pytania, gdy chcemy się dowiedzieć więcej. Słyszeliśmy tyle, że pewnie złożylibyśmy je w całą opowieść, ale moglibyśmy coś pominąć, a i chronologia byłaby trudna do odtworzenia. Dlatego ostatni tom wspomnień, powinien zakończyć się właśnie Twoją historią, spisaną w całości, a my chętnie posłuchamy pełnej historii.

Musiałabym zacząć chyba od początku, od wybuchu wojny. Przed wojną mieszkałam z rodzicami i bratem na ulicy Chłodnej. Miałam wtedy siedem lat i chodziłam już do drugiej klasy, bo wcześniej poszłam do szkoły. W pierwszych dniach września poszłam nawet do szkoły. To wszystko nas, dzieciaki, chyba nawet trochę bawiło. Dostawaliśmy maseczki, jakieś opatrunki, coś mieliśmy z tym robić. Uczono nas jak się mamy zachowywać, zakładać maseczki, schodzić do schronu, takie były nasze pierwsze lekcje. Ale potem, jak było jedno bombardowanie, drugie, rzeczy, które się na ulicach widziało, koleżanka, która nie przysłała na drugi dzień, tam znowu kolega nie przyszedł. Już zaczęliśmy rozumieć, co to jest wojna. No i w tym właśnie czasie nastąpiła ewakuacja. Ojciec przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przed samą wojną był na placówce w Niemczech, wrócił na urlop i wojna się rozpoczęła. Ewakuowali ojca razem z innymi urzędnikami i dokumentacją, mógł wziąć ze sobą rodzinę. Nie pojechała jednak z nami nasza mama. Spóźniła się, ponieważ poszła żegnać się ze swoimi rodzicami. Pojechała z nami siostra ojca, ciocia Jadzia. Ona się zresztą nami już wcześniej opiekowała, jak ojciec był na placówce. Jechaliśmy gdzieś na wschód, było jakieś bombardowanie w Ostrołęce. Jak nadlatywały samoloty to ludzie wysiadali z pociągu i biegli do lasu. Uprzedzano, żeby nie nosić nic czerwonego, żeby nie było nic takiego. Jak wracaliśmy już po nalocie, to ktoś w tym pociągu zawsze nawoływał i to kilkakrotnie: „Ala!, Ala!, Ala!”, to się roznosiło jak „alarm!” Ludzie znów uciekali, robił się popłoch, robiło się zamieszanie. Nie mogli znaleźć tego kogoś. Czy to była celowa robota, czy to była czyjaś głupota, tego nie wiem, ale ten głos się rozlegał prawie przy każdym bombardowaniu. Siódmego, może ósmego września dotarliśmy do Białowieży. W Warszawie bombardowania, zniszczenia, a tu piękny pałac, piękny park, sarenki do rąk przychodzą, a więc radość duża. Tuż przed 17 września ojciec nas wyrwał wcześniej rano ze snu i mówi: „Musimy stąd wyjeżdżać”. Słyszałam jak mówił do ciotki: „Dostałem odprawę, trzymiesięczną. Każdy ma robić co chce, niech się każdy stara jak chce”. Znaleźliśmy się w wiosce Waszkowce, tam byliśmy kilka dni, nawet bardzo to dla nas było malownicze, bo to była taka typowa

wieś, a ja wsi nie znałam. Suszenie konopi, te dzbanki na płotach, te jakieś placki z marchwi. W piecu się to wszystko gotowało, piekło, więc to bardzo mnie interesowało. Ale znowu ojciec któregoś dnia poszedł do jakiegoś miasteczka, wrócił i mówi: „Musimy się zabierać, musimy uciekać”. Wtedy sytuacja wydała nam się groźna, ojciec był bardzo zmartwiony, bardzo smutny, bo już było po 17 września. Od tego czasu musieliśmy uciekać.

Najpierw uciekaliście z Warszawy przed Niemcami, a potem przed Rosjanami?

Tak. Stale do pociągu, z pociągu. Jechaliśmy w jedną stronę wzdłuż tych naszych ziem, ja stałe siedziałam przy oknie i patrzyłam, jakie miasteczka mijamy, jakie miasta, co raz to samo, za chwilę znów to samo, gdzieś ten pociąg tak kluczył. Potem musieliśmy wysiadać, pod wagonami przechodziliśmy, jakieś cegielki się stawiało i coś się gotowało, gorące jedzenie trzeba było zabierać do wagonu. Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Wreszcie Rosjanie nas gdzieś zatrzymali, to miasteczko nosiło nazwę na „U”, nie pamiętam, nie umiem sobie tego przypomnieć, bardzo krótka nazwa. Tam u jakiegoś popa nas zainstalowano, byliśmy tam przez kilka dni, nie wyglądało to zżęcznie, zwłaszcza, że żona popa nie bardzo tego chciała. Na stacji tego miasteczka, jak tam później poszliśmy, to leżały trzy, czy cztery niewypały bomb, ogrodzone jakimś sznurkiem i nie wolno było do tego podchodzić, ale ludzie stali przy samym sznurku, więc gdyby te bomby wybuchły to i tak ci ludzie by zginęli, te bomby z pół metra miały.

Prawie całą okupację spędziłaś jednak w Warszawie. Jak udało się Wam wrócić?

Zabrano nas stamtąd. Pozwolono nam wyjechać do Brześćcia. W Brześciu, w twierdzy, dano nam jedno pomieszczenie, było chyba z 80 osób, 40 osób dorosłych i dzieciaków, bo rodziny były z dziećmi. Dali nam słomę, była jedna kuchnia i tak egzystowaliśmy chyba do końca listopada. Już było bardzo zimno, jak zaczęli się dorośli starać o to, żeby się jakoś przenieść do Warszawy. W Brześciu były trudne warunki, nocą trzeba było stać w kolejce po chleb. Bardzo trudno było go zdobyć. Pamiętam, że kiedyś też do tej kolejki poszłam, trzeba było stać na zmianę. Prawie dobę stało się po ten chleb i mnie wypadło nad samym ranem, poszłam, brata zmieniałam. Otworzyli wcześniej i ja dostałam czterokilogramowy bochenek chleba, on był jeszcze gorący, niosłam go z trudem, nie mogłam go udźwignąć. Byłam szczęśliwa, że wreszcie chleba trochę przyniosłam. No i jakoś tam żyliśmy, wyprzedając się ze wszystkiego, co się miało, co się wiozło ze sobą, żeby zdobyć te pieniądze na jakieś przeniesienie się. No i mężczyźni wynaleźli jakiegoś przewoźnika, zapłacili mu duże pieniądze, przeniesiliśmy się do jakiejś wioski blisko Bugu. Tam były patrole rosyjskie, przeważnie na koniach. Myśmy się chowali. Pamiętam raz się schowałam za kanapą, gdzieś się tam skryłam, żeby nas nie widzieli. Wczesnym rankiem, już śnieg był duży, wyszliśmy z tego domu, z tej chałupy i gęsiego, wzdłuż Bugu szliśmy do tej umówionej łodzi. Mówiono nam, że mamy być cicho, a tu w pewnym momencie jeden chłopiec krzyczy: „Ludzie! Zaczekajta, bo moja matka mdleje!” Krzyk, puste pole, śnieg, gdzieś troszkę krzaków i woda. Wszyscy struchleli. Mówimy mu: „Cicho bądź, cicho bądź”. Za jakiś czas on znowu zaczął krzyczeć, ale inni prędko go uciszyli. W tym śniegu, doszliśmy do brzegu Bugu. Później jak przepływaliśmy to też były perypetie, bo zaczęły się strzały, i z jednej, i z drugiej strony nad nami. Wtedy zobaczyłam, że to są żołnierze na koniach w takich czapkach ze szpicami. To były rosyjskie ubrania. Ja na tym się nie znam, ale pamiętam, że takie szpice były. Dla mnie to wszystko było wtedy takie może wyolbrzymione nawet, bo i te konie mi się wydawały duże, i że one już na nas idą. A jeszcze zdarzyła się taka sytuacja, że nie wszyscy się zmieściliśmy na tę jedną łódź i ta łódź została zniesiona, nie wyobrażałam sobie, że taki wartki prąd jest na Bugu. Rzeka była jeszcze na brzegach troszeczkę przymrożona. Zanim oni odpłynęli, zaczęły kule świstać. Co robić? Gdzie się chować? Wtedy zza krzaków wychylił się jakiś inny nadbużanin i zaproponował nam, że on ma łódź i nas przewiezie, ale oczywiście za oddzielną opłatą. Na tamtej łodzi znalazła się moja ciotka i mój brat, a tutaj ja byłam z ojcem i z naszymi bagażami, było jeszcze parę osób, między innymi ten chłopiec, który tak krzyczał. Wypłynęliśmy na środek rzeki, zaczęło nas obracać. Przewoźnik mówi: „Ja już nie mam siły, nie wiem, co robić, niech wszyscy się ratują jak mogą”. No, ale jakoś pan Wysocki, pan Jadczyk i mój ojciec pomogli zażegnać niebezpieczeństwo. Tamci bardzo daleko wylądowali i stamtąd mój brat przybiegł, żeby nam tu pomagać. Tamta łódź podpłynęła pod płaski brzeg, a myśmy podpłynęli pod bardzo wysoki, oblodzony. Brat mój podszedł, położył się na śniegu. Tadzio Wysocki, też młody chłopak, wdarł się pierwszy i tak obaj nas wyciągali z tej łodzi. Później rzeczy też wyciągali, ale nawet beretem Tadzia wylewaliśmy wodę z łodzi, bo się tyle tej wody nabrało. Beret zamarzał dosłownie, ale był dobry do wylewania, bo jak garnek prawie służył. Wreszcie dostaliśmy się do jakiejś wioski, gdzieś blisko. Te chałupy były przygotowane na to, że nas tam przyjmą. Przyjęli nas taką bardzo dobrą kawą mleczną, nie naturalną, tylko zbożową, ale mleczną. Po tych przeżyciach ta kawa była zbawieniem. Położyliśmy się spać. Na noc gospodarze dali nam kożuchy, bardzo dobrze nas przyjęli. Notabene w tych kożuchach były wszy, ale to już inna sprawa. Zaraz na drugi dzień przyszli Niemcy, dopytywać się, kim my jesteśmy. Ojciec znał niemiecki i tłumaczył, że chcemy wracać do Warszawy. No i Niemcy nam powiedzieli, że możemy. W każdym razie dostaliśmy się do pociągu do Warszawy.

Co się działo po powrocie do Warszawy? Gdzie mieszkałaś? Jak wyglądało Twoje życie?

Mieszkanie zastaliśmy w całości, nie wszystko było zrujnowane. Potem musieliśmy się przemieszczać kilkakrotnie, bo jak tylko przyjechaliśmy dozorca powiedział: „Panie Matusiak, tu już po pana gestapo przychodziło”. No, bo jak ojciec był pracownikiem MSZ, był na placówce, to mieli o nim dane. Musieliśmy zmieniać mieszkanie. Później już osiedliśmy przy ulicy Kaczej 20.

A Twoja mama? Miałaś z nią kontakt po powrocie?

Mama ze względu na przynależność konspiracyjną mieszkała gdzie indziej, czasem spotykaliśmy się razem. Pewnego dnia w 1941 roku dowiedzieliśmy się, że mama jest aresztowana. Nawet ojciec i dziadek jakiegoś agenta wzięli, żeby się czegoś dowiedzieć. Agent powiedział: „Nie dowiadujcie się, ona była na Szucha, jest zmaltretowana”. On się nawet tak wyraził: „Z jej celi krew wypływa”. Dowiedziałam się dopiero po dłuższym czasie, że moja mama została zamordowana. Nie mogłam tego jakoś pojąć, bo wydawało mi się, że ta rodzina się scali, że wszyscy będziemy razem. Jak się o tym dowiedziałam, nie umiałam jakoś o tym nikomu powiedzieć, a dowiedziałam się późno, bo widocznie śmierć mamy ukrywano przede mną. Pewnego dnia na ulicy Płockiej, koło mojej szkoły, rzuciłam się z pretensjami na spotkanego Niemca, coś tam zaczęłam wykrzykiwać i jego pies mnie pogryzł (do dzisiaj mam znaki). Zrobiłam to po prostu z rozpacz, że mama nie wróci, że już nie będzie nic. I wtedy ktoś mnie wciągnął do jakiegoś podwórka, wypytał mnie pewnie gdzie ja chodzę do szkoły i odprowadzono mnie tam. Kiedy wyleczyłam te skaleczenia i poszłam znów do szkoły po kilku dniach, to mnie siostra Eugenia Dębska, kierowniczka szkoły (szkoła była przy ulicy Górczewskiej 9) powiedziała: „Słuchaj czy ty chcesz...”. Ona już wiedziała o naszej sytuacji, wiedziała o tym, że mój brat jest w organizacji. Teraz wiem skąd. Jego uczyła siostra Kazimiera, pani Kazimiera Baj, a w zakonie była siostra Maria Baj, więc to były takie powiązania rodzinne. Siostra Eugenia Dębska powiedziała mi: „Słuchaj, jak chcesz sprzeciwiać się wrogowi, to nie możesz w pojedynkę, to trzeba razem, to trzeba słuchać kogoś”. Dała trochę reprimendę za to, co zrobiłam, może pogłaskała, ja się w każdym razie zgodziłam i przeszłam szkolenie z łączności u pani Zofii Baj – potem dowiedziałam się, że była kierowniczką Wojskowej Służby Kobiet na Woli. Zaczęłam nosić prasę konspiracyjną. Moim zadaniem też było pilnowanie, bo w szkole przy Górczewskiej, poza szkołą podstawową, powszechną, jak się wtedy mówiło, była szkoła krawiecka, ale dziewczęta nie uczyły się krawiectwa, może trochę, ale miały tam szkolenia innego rodzaju. Ważniejsze szkolenia nie odbywały się w klasie, tylko w kaplicy.

Czyli szkoła krawiecka była taką przykrywką?

Była chyba przykrywką, te dziewczyny uczyły też ksiądz Alfons Kasior, który dawał mi prasę konspiracyjną. Myślę, że te dziewczyny ją tam dostarczały, nie wiem jak to było, ja w to nie byłam włączona, dostawałam tę prasę w zakrystii. Kiedy czekałam na nią, to udawałam, że ceruję ornaty, trzeba było udawać, że coś tam się robi. Ja faktycznie cerowałam, bo miałam zdolność łatwego cerowania. Cerowałam też firanki z kaplicy, kiedy musiałam pilnować, żeby nikt do tej kaplicy nie wszedł. Nieraz udawałam, że myję drzwi, albo myłam fisharmonię (tam na korytarzu była fisharmonia vis a vis drzwi tej kaplicy). Żaden instrument nie był chyba tak wyczyszczony jak ta fisharmonia.

Oprócz tego, że nosiłaś prasę konspiracyjną, to jak wyglądało Twoje codzienne życie?

Było nam bardzo ciężko finansowo, bo ojciec nie mógł zarabiać, ukrywał się. Jak gdzieś się postarał o trochę żyta czy fasoli, to przyniósł. Myśmy to żyto czy jęczmień przebierać musieli, bo było zanieczyszczone, i potem to trzeba było gdzieś przemielić na ręcznym młynku i z tego robiło się placki, bądź kluski. Poza tym oboje z bratem pracowaliśmy. Robiliśmy pewne rzeczy, na których można było zarobić pieniądze. Z takiej fabryczki braliśmy pasma nici i je rozdzielaliśmy, zwiłaliśmy w pasemka i oklejaliśmy banderolą. Część tego towaru oddawaliśmy do fabryczki, a część zostawała nam, jako nagroda za to, co zrobiliśmy. Dopiero to sprzedawaliśmy i były z tego jakieś pieniądze. Spinki do włosów dostawaliśmy i na takie papierki, między dziurki trzeba było je wkładać. Robiliśmy skuwki na sznurowadła. Najpierw ręcznie, a później taką maszynkę nam zainstalowali, to już było łatwiej. I tak, przy karbidówce, bo nie było przecież światła, dopiero wieczorem, jak godzina policyjna była to wtedy światło było.

Wspomniałaś, że Twój brat Zenek był w organizacji.

Tak. Pewnego dnia, jak byłam sama w domu, przyszła jakaś dziewczyna i przyniosła mi kartkę dla brata i na tej kartce było: „Panie Zenku, lokal pana zagrożony”. Wtedy trochę się zdenerwowałam, bo wiedziałam, co to znaczy. Wcześniej nocowali u nas bracia cioteczni, którzy się ukrywali. Jak teraz lokal był zagrożony, to nie tylko ojciec nie mógł już wracać, ale i brat musiał się ukrywać. Trzeba było najpierw wynieść wszystko, co mogło wskazywać na konspiracyjną działalność brata. Wszystkie jego harcerskie rzeczy, łącznie ze sznurem, gwizdkiem, akcesoriami różnymi, wszystko to popakowałam w takie nieduże paczki i wyniosłam na podwórko pod śmietnik. Wtedy śmietnik, to była wielka drewniana skrzynia na wysokich nogach i ja pod ten śmietnik schowałam wszystko i czekałam na brata, żeby mu tę kartkę dać.

Brat przyszedł, spotkałam go na ulicy, dałam mu tę kartkę i on zawrócił, wtedy już w domu nie mógł nocować. Z rzadka przychodził do domu i właśnie chyba wtedy zmienił nazwisko na inne. Ja tego nie wiem, bo on mi tego nie mówił. Przynosił jeszcze czasami jakieś rzeczy, które ja miałam zanieść, takie paczuszki, nieduże, w poszarżalym papierze. Miałam zanieść na ulicę Spokojną albo do szkoły Konarskiego. Takie miałam zadania. Kiedyś, jak z getta wywozili ludzi (jak jeszcze było getto), to szlaban zamykano, bo tramwaje jeździły ulicą Okopową. Otwierano bramę na ulicę Gęsią i na Kirkut. Myśmy przy tym szlabanie stali i widzieliśmy jak wywozili zwłoki Żydów. Między innymi jednego chłopca, z którym wcześniej bawiliśmy się na podwórku (on przekradł się kiedyś z getta i został nakarmiony przez naszą znajomą. Dała mu też jedzenie na drogę, on to wszystko na raz zjadł, pewnie mu to zaszkodziło), ja tych oczu nie zapomnę nigdy. Jakoś trzeba było żyć.

Czym jeszcze się zajmowałaś?

Handlowaliśmy na Kercelaku i z tego były pieniądze. Potem zaczęłam cerować jakieś ubrania. Ojciec zaczął trochę częściej przychodzić do domu, zarobił coś, jakimś pokątnym handlem się chyba zajmował. Jakieś ubrania przynosił. Te ubrania miały plamy i dziury. Myślę, teraz sobie zdaje z tego sprawę, że to były dziury po przestrzeleniu. Te plamy trzeba było usunąć albo wycinać. Ja miałam za zadanie cerować, więc wyciągałam ze szwów te same nitki i cerowałam, a później się to w mydlnicy lekarskiej prało i ojciec to sprzedawał. To jest to, co ja sobie przypominam, takie rzeczy.

Musiałaś pracować, pomagałaś ojcu, żeby rodzina mogła przetrwać.

Były na przykład takie historie: zebraliśmy się razem wszyscy rano i było śniadanie. Siedzimy wszyscy przy stole, jemy, każdy głodny, tego chleba było mało i zostawała piętka: „no to ty zjedz tę piętę”, „nie, to ty zjedz”, „nie, ja nie, to ty” i wreszcie ta piętka zostawała, bo nikt... Każdy by ją zjadł, ale w rodzinie to jest tak, niech zje ten, kto jest bardziej głodny, a tu... No nie wiem jak to wytłumaczyć... Każdy chciał zachować ten ostatni kawałek dla drugiej osoby, dla kogoś innego.

To tylko świadczy o tym, jak blisko byliście. A jak w tym czasie wyglądała Warszawa? Jak wyglądały ulice? Czy bezpieczne można było wychodzić na ulice?

Pamiętam Warszawę stale szarą, stale ciemną, zaciemnione okna w tramwajach... No, czarno było. Godzina policyjna i egzekucje, które były. Przecież plac Kercelego, który był niedaleko nas, został dwukrotnie spalony, zbombardowany zapalającymi bombami. Zaraz po tym były łapanki, otoczono cały teren i wszystkich ludzi, którzy byli na Kercelaku zabrano, wywieziono.

Kiedyś szłam do szkoły i na rogu Karolkowej i Żytniej widzę leży człowiek w niemieckim mundurze. Był wtedy śnieg, on tak leżał twarzą do ziemi i ja doszłam bliżej do niego. Zobaczyłam, że ma siną twarz, siną dłoń, więc wycofałam się stamtąd prędko. Już wtedy nauczona byłam tego, że ślady za sobą zacierałam workiem od kapci, bo na śniegu te moje ślady były pierwsze; widocznie w nocy zabito go. Gdy wracałyśmy ze szkoły z koleżanką, cała okolica była obstawiona. Łapanka; kordony żandarmerii, jeden przy drugim prawie stali, bardzo blisko. Myśmy nie miały jak się dostać do domu – ona mieszkała na Gibalskiego, ja na Kaczej. Jakoś tam naokoło przeszłyśmy. Mnóstwo ludzi wtedy aresztowano. Później były obwieszczenia, że są zakładnicy i ci zakładnicy, jak się ktoś tam nie przyzna do czegoś, zostaną zgładzeni. Na czerwonych plakatach nawet zauważyłam nazwisko Matusiak, ale z innym imieniem. Mój ojciec też został w tej łapance złapany, ale wykupił się jakimiś pieniędzmi. Ten pilnujący kiedyś podobno pracował w ministerstwie i dał się przekupić.

Łapanki, egzekucje odbywały się na ulicach. Na Towarowej była bardzo duża egzekucja. Ludzie potem przychodzili, kładli kwiatki, maczali chusteczki w krwi. Sama widziałam, jak ludzie w rękawach nieśli lampkę zapaloną – i tylko ktoś przykucnął, przychylił się troszkę i tę lampkę wypuścił, i ona w tym miejscu się paliła. Niemcy przyjeżdżali i to wszystko sprząтали, zmywali, zabierali. Znowu ludzie przynosili. To życie wojenne nie było łatwe. Wróć jeszcze do nauki w szkole...

O właśnie, jakie były wtedy przedmioty? Z czego się uczyliście i czego mogliście się uczyć?

Uczyliśmy się w szkole też takich przedmiotów, jak język polski czy historia i geografia Polski. Tego nie wolno było się uczyć, mogliśmy się tylko uczyć czytać i trochę liczyć. Literatury polskiej w ogóle nie. Nie nosiliśmy książek do szkoły. Najwyżej ktoś przynosił jedną żeby nie zniszczyć, bo nie drukowało się nowych książek, i gdyby każdy z nas miał książkę, to przecież byłaby klęska, gdyby do szkoły weszli Niemcy. Zresztą dwukrotnie czy trzykrotnie przyszli do naszego budynku i trzeba było książki szybko zniszczyć. Jedną w piecyku do ogrzewania, który stał w klasie, a drugą w ubikacji – po prostu każdy wziął kawałek, podarliśmy na strzępy i to wszystko spuściliśmy.

No i tak dotrwaliliśmy do Powstania.

Jak dla Ciebie zaczęło się Powstanie, jak zapamiętałaś pierwsze dni, czy był taki jeden moment, kiedy wiedziałaś już na pewno, że faktycznie wybuchło?

Przedtem się już coś mówiło o tym, już słycać było. To były wakacje, kto mógł to wysłać dzieci na wieś. Ja zostałam niestety, byłam wtedy sama w domu i usłyszałam wybuch. Za chwilę weszła moja ciotka, ta ciocia Jadzia, która z nami była. Jak usłyszałam ten wybuch podeszłam do okna i patrzę, a z rogu, z ulicy Okopowej skręcają w Kaczę dwaj mężczyźni wlokący jakiegoś człowieka? Ja patrzę, a to jest mój ojciec. Oni go dosłownie wlekli i przywlekli go do naszej piwnicy, ale zanim przywlekli to... jeszcze widziałam, jak Okopową jechały samochody ciężarowe, tak jeden za drugim. Jeden z tych samochodów skręcił w Kaczę i zatrzymał się przed naszą bramą. Wtedy usłyszałam, że na schodach krzyczy nasz dozorca, chociaż mieszkał na innej klatce, ale wszedł na naszą: „Schodzić do piwnicy, schodzić! Powstanie!” Widocznie był wtajemniczony. Wtedy dowiedziałam się, że to jest Powstanie. Wybiegłyśmy razem z ciotką do piwnicy, na dół. Zanim Niemcy stanęli przy bramie, to sąsiedzi zdążyli mojego ojca wprowadzić do piwnicy, już nie do mieszkania, ale bezpośrednio do piwnicy. Ojciec podobno był kontuzjowany, ja się nigdy nie mogłam tego dowiedzieć, bo stracił władzę w nogach i prawie nie słyszał i cały czas coś pokazywał na głowę, ale rozmawiał, mówił coś do nas. Po jakimś czasie zaczął coś słyszeć, tylko mówił, że go bardzo głowa boli, ja pytałam: „Tatusiu, co się stało?”, „Nie wiem” i do końca nie wiedział, co się stało. W każdym razie pomału odzyskiwał władzę w nogach, widocznie to była jakaś kontuzja, przy jakimś wybuchu był blisko. Myśmy się jakoś zainstalowali w tej piwnicy. Wtedy zaczęły się jakieś wybuchy, takie walenie w ściany, bardzo mocne. Wtedy to były takie zwyczajne bramy we wgłębieniu z pachółkami, także Niemcy nie mogli tego sforsować samochodem, tylko wyskoczyli z samochodu, tak opowiadał dozorca. Ale zanim oni wyskoczyli, to on zdążył tę bramę zamknąć. Pan Chelmiński, bardzo zany człowiek, bardzo dużo zrobił dla ludzi w tym domu, bo to naprawdę mogło być tragicznie. Wchodziło się do bramy i były dwie oficyny, potem znowu do podwórka, znowu dwie oficyny i tak dalej. Niemcy sforsowali tę bramę granatem, czy granatami, tego nie wiem, w każdym razie weszli. Weszli na naszą klatkę schodową, na parter, do piwnicy się już bali wejść, bo wiedzieli, że tam są ludzie i bali się wejść na piętra, bo nie wiedzieli, co tam jest. A tam właśnie, na drugim piętrze z innego budynku, powstańcy się przebijali i wreszcie się przebili. Ci ludzie z drugiego piętra nie zdążyli zejść, bo my z pierwszego piętra zdążyliśmy zejść do piwnicy, jak pan Chelmiński krzychał. Na parterze, z jednego mieszkania nie wyszła rodzina i też zaczęli przebijać dziury. Myślę, że to była umówiona już sprawa. To takie dwie młode dziewczyny były i ich bracia, nazywali się chyba państwo Łapidonowie, może myłą nazwiska, ale to była Marysia i jeszcze chyba dwóch chłopców. Oni się przebijali, a Niemcy byli na parterze. Marysia była pod nadzorem tych Niemców, chciała ostrzec powstańców, którzy się przebijali, żeby oni nie wchodziłi do tego mieszkania, a oni te dziury robili. Ale oni się wdarli i tych Niemców przepędzili. W każdym razie, tak się stało, że myśmy drugiego czy trzeciego dnia Powstania w naszym domu, na podwórku, mieli wolność absolutną. Byliśmy sami, to studzienne podwórko, to było nasze podwórko, myśmy już tam mieli wolność. I tu była wolna Polska. Już w piwnicy była wolna Polska, bo wiecie, już drugiego dnia przyszedł mój brat, w hełmie, z biało-czerwoną opaską na rękawie, miał broń przy sobie, przyniósł jakieś gazetki. Tam były nadzwyczajne wiadomości z frontu jak gdyby, bo on gdzieś na Woli walczył.

Ile lat miał wtedy Zenek? Gdzie i w jakim oddziale walczył?

Miał 17 lat, to był bohaterski chłopak. Bardzo był ładny i był bardzo dzielny. Był harcerzem w „Szarych Szeregach”, drużynowym w hufcu wolskim „Giermkowie Wolności”. Nie wiedziałam, w jakim oddziale walczył. Może ojcu powiedział? Dopiero niedawno dowiedziałam się, że był w zgrupowaniu „Waligóry” na Woli. Na tablicy w Muzeum Powstania jest jako starszy strzelec. Wtedy jak przyszedł to była wielka radość, ludzie w piwnicy go obścapiłi, te gazetki, te wiadomości. Byłam taka dumna przed sąsiadami.

Jak żyło się Wam w tej piwnicy?

W tej piwnicy, my już mogliśmy coś zrobić. Mnie wysłano z jakimś meldunkiem, bo tam przebito dziurę, i ten meldunek trzeba było wysłać, a ta dziura była za mała. Na ulicę, przecież nie można było wychodzić, to się na kijku czapkę wystawiało... Ale ponieważ ta dziura była za wąska, ja byłam mała, to się przemknęłam i gdzieś tam jakąś karteczkę zaniosłam i wróciłam z powrotem. Kiedy już tę wolność mieliśmy, to praliśmy bandażę, robiliśmy szarpie z prześcieradeł, każdy dawał prześcieradła, wysuływało się nitki i takie pączuszki się robiło, tampony takie, a bandażę się prało. Ja miałam taką zdolność, że ładnie te bandażę zwijałam, wilgotne troszeczkę. Gdzie one szły to ja nie wiem, ale w każdym razie już była wolność w naszym domu. Później dali nam znać, że z naszego domu gołębiarz strzela. Widocznie jakiś Niemiec się tam usadowił, ale to już nie była moja sprawa, to już mężczyźni się tym zajęli. Unieszkodliwili go. On uciekając spadł z dachu na nasze podwórko. Został zakopany pod ołtarzykiem, gdzieś go trzeba było ukryć. Przy tym ołtarzyku w czasie okupacji i powstania, modliliśmy się, śpiewaliśmy. Na Woli jak wiecie ta euforia bardzo szybko się skończyła... bardzo szybko się skończyła. Brat przyszedł raz. Później przyszedł 9 sierpnia, już był smutny, wiedział, że się mają przebijać gdzieś na Starówkę. Powiedział to do ojca. Był taki moment w piwnicy, kiedy siedzieliśmy, kiedy ojciec jeszcze tak

nie bardzo słyszał, zapytałam: „Tatusiu, czy to Powstanie?”, a tatuś: „Tak dziecko, Powstanie”, wcale nie euforycznie, a ja mówię: „Ojej, jakie to szczęście, to Zenek walczył!”, a ojciec na to: „No, walczył...”, takim głosem, wiecie, takim głosem zatroskanego, zmartwionego ojca. Cały czas miał taką twarz zatroskaną, a ja się cieszyłam i brat chciał mnie wziąć do szkoły na Okopowej. Czy to była szkoła na Okopowej 55 to jest mi trudno powiedzieć, w każdym razie do szkoły na Okopowej. A ojciec mówi: „Nie, niech już zostanie tutaj”. No i Zenek poszedł, ale był u nas ostatni raz, z dwoma kolegami i z jakąś dziewczyną. I poszli wszyscy. Jeszcze jedną noc przespaliśmy w piwnicy, bo do mieszkań nie wolno było wchodzić. Ja się raz przedostałam przez Niemców, żeby coś z ubrania czy do jedzenia choćby przynieść. Wysłałam trochę po kryjomu przed ojcem i ciotką. Wysłałam z tej piwnicy, bo w piwnicy ciemno, kto mnie tam mógł zauważyć? Skradałam się. Niemcy siedzieli na parterze, przesłałam koło nich, a oni mi nic nie powiedzieli. Fakt, drzemali, ale nic mi nie powiedzieli. Poszłam na pierwsze piętro i w naszym korytarzu siedzieli Niemcy. Przesłałam koło nich i weszłam do mieszkania. Otworzyłam drzwi z klucza, bo jeszcze zdążyliśmy z ciotką zamknąć, otworzyłam, weszłam i wzięłam coś do jedzenia. Tam był chleb, kawałek słoniny i jakiś garnek, chyba z zupą, tego nie pamiętam. Idę z powrotem, Niemiec zabrał mi chleb i spytał (ja nie znałam niemieckiego), co ja mam, a drugi mówi: „Speck”, czyli słonina i oddał mi chleb, a zabrał słoninę. Zabrali mi też klucz od mieszkania. Garnek z zupą i chleb mi zostawił i zabrałam to do piwnicy. To była bezmyślność z mojej strony, ale udało mi się. Nogi mi się później tak trzęsły, że nie mogłam stać. Później gotowało się na podwórku. To w ogóle był nadzwyczajny dom, tam byli nadzwyczajni ludzie, tam każdy się każdym opiekował. Był pan Rydecki, który miał sklep spożywczy, w tym domu z boku. Wszystko, co miał dawał do gotowania. Gotowaliśmy na dworze, w takich kotłach. Życie było zupełnie rodzinne.

Jak długo przebywaliście w tej piwnicy?

10 sierpnia, po południu przyszedli Niemcy i kazali nam się wynosić, można było w rękę coś wziąć, wtedy mogliśmy pójść do mieszkania. Jak tylko weszliśmy do mieszkania i zbliżyliśmy się do okna to coś huknęło w róg naszego okna, czyli ktoś widocznie obserwował i w to okno strzelali. Tam stała na oknie wykupiona przeze mnie marmolada, a to słońce sierpniowe tak grzało, że marmolada tak spuchła i łała się po tym oknie i na podłogę. W pierwszej chwili jak zobaczyłam na podłodze, to myślałam, że to krew czyjaś, a to była ta marmolada.

Potem weszli już Niemcy, mogliśmy niektóre rzeczy wziąć. Ojciec wziął taką paczkę, którą miał przygotowaną na wszelki wypadek, tam było futro i garnitur, w takiej paczce w papier zawiniętej, takim dobrym papierem i sznurkami. My z ciotką wzięliśmy tylko to, co w rękę, ciotka wzięła trochę żywności, a ja wzięłam książkę, nie wiem dlaczego, ale książkę, moją ulubioną. To była antologia poezji polskiej – zielona, skórzana oprawa, złożone litery, lekko kremowy, czerpany papier. Ja się z niej uczyłam wierszy w czasie okupacji. Bardzo kochałam tę książkę.

Coś jeszcze wzięłaś?

Nakładłam na siebie chyba trzy sukienki i kożuszek, bo to co się miało na sobie, była szansa, że ocaleje. Byłam w sandałkach. I tak nas wypędzili z domów, okolicznych domów, bo jak szliśmy to z drugiej strony Okopowej, naprzeciwko Kaczej, to już tam trochę ludzi stało. Spędzili nas tam wszystkich. Naprzeciwko ustawione były karabiny maszynowe, na każdym rogu, na Kaczej, na Żytniej. Na Okopowej przy Żytniej była barykada. Niemcy kazali wszystkim mężczyznom wyjść i rozbierać tę barykadę, ta barykada była, tak jak to w Warszawie, z brukowców, płyt chodnikowych, szaf, krzeseł (później jak byłam w innej sytuacji, kiedy barykadę w Berlinie kazali mi budować, to zupełnie inaczej to wyglądało). W każdym razie mężczyźni poszli tam, a wtedy Niemcy pozabierali młode dziewczyny. Młode dziewczyny, nie dzieci, pozabierali. Jedna kobieta, bardzo siwa, prosiła, uklękła przed Niemcem i całowała jego buty, żeby jej córkę oddał. Nie oddał. Te dziewczyny poszły i nigdy nie wróciły. Po pewnym czasie kazali nam stamtąd ruszyć, byliśmy przekonani, że nas zabiją, bo do tej pory zabijano wszystkich po kolei, ale kazano nam iść. Kto nie mógł iść został. Jak dość daleko odeszliśmy, to usłyszeliśmy strzały, nie wiem czy stamtąd, ale prawdopodobnie zabito tych chorych czy starych, nie mogących iść. Ojciec już trochę chodził, więc tak powoli, powoli szliśmy. Kawałek szliśmy ulicą Żytnią, potem Karolkową, koło szpitala Karola i Marii, potem koło szpitala św. Łazarza. To były straszne widoki. Potem szliśmy Leszkiem do Górczewskiej. Na rogu Górczewskiej i Młynarskiej była kapliczka, a w tej kapliczce leżały ludzkie zwłoki, obok były konie, spalone, spuchnięte, z takimi strasznie wzdętymi brzuchami. Na rogu Młynarskiej i Górczewskiej płonął też dom, z tego domu pewnie chcieli skakać ludzie, były przewieszane zwłoki, zwęglone takie wisiały na oknie, tliło się jeszcze na nich ubranie.

Te ulice wciąż istnieją, w tych samych miejscach, więc zastanawia nas, czy jak widzisz te miejsca teraz, to przypominają Ci o tych sytuacjach?

Jak jestem czasami w tamtej okolicy, to ja to widzę, bo ten dom rzeczywiście nadal tam stoi. Nie będę mówiła, który bo może trudno byłoby tam ludziom mieszkać, chociaż uważam, że to jest dom bohaterów.

Co było dalej?

Dalej nas pędzili ulicą Górczewską. Między ulicami Szlenkierów i Tyszkiewicza jest pałacyk, a za tym pałacykiem plac Opolski. Na tym placu były ustawione stoliki, byli Niemcy, były kobiety w kolorowych sukniach, patefon grał, oni tańczyli i się bawili. W tej scenerii, wyobraźcie sobie, człowiek zabijający drugiego człowieka, człowiek niszczący całe narody, mógł się bawić. Dla mnie, dziewczyny wtedy dwunastoletniej, był to szok straszliwy, ja nie mogłam sobie z tym poradzić, nie mogłam zrozumieć jak to się działo. Wydawało się to nie do pojęcia. Po drugiej stronie Górczewskiej była moja szkoła. I dalej szliśmy, wszędzie były trupy, wszędzie były jakieś szczątki ludzkie. To jest obraz nie do opowiedzenia, nawet gdybym umiała rysować, to bym tego nie narysowała. Pędzili nas dalej, do ulicy Działdowskiej i z Działdowskiej skręciliśmy w ulicę Wolską, do kościoła św. Wojciecha i tam zabierali mężczyzn. Ja się tak przytuliłam do ojca, że Niemiec kolbą karabinu musiał odpędzić mnie od ojca. Ojca chyba mocno uderzył tą kolbą, bo ojciec aż się tak skulił. Niemiec włożył tę kolbę między nas i nią szamotał, myśmy się odsuwali, uderzenia były coraz mocniejsze. Ojciec był już wtedy chyba przekonany, że idzie na stracenie. Wiedział, zdawał sobie ze wszystkiego sprawę, ja nie. Rzucił tę swoją paczkę, a ja ją wzięłam i ciągnęłam jeszcze do wiaduktu, do Bema, wtedy zgubiłam książkę, niestety. Popędzili nas dalej. Muszę Wam powiedzieć, że nie wiem, co na to wpłynęło, ale ja od tamtej pory nie wiem, co się działo, aż się znalazłam w Pruszkowie. Nie wiem którą szłam.

Nie pamiętasz jak wydostałaś się z miasta, jak dotarłaś do Pruszkowa?

Nie. Czy jechałam? Czy szłam do tego Pruszkowa? Jak się tam znalazłam? Nic zupełnie nie pamiętam, mam lukę zupełną, nic nie wiem. A przecież zdaje mi się, że pamiętam niektóre szczegóły bardzo dokładnie. To nie był pierwszy raz, kiedy mi się to zdarzyło, zdarzało się to też i potem. Tam, poza ciotką, znalazłam drugą ciotkę, matkę moich ciotecznych braci, którzy zginęli. Oni byli członkami klubu sportowego. Jeden był lekkoatletą, a drugi był piłkarzem. Są na liście strat „Skry”. Zginęli, jeden w Buchenwaldzie, drugi w Krakowie. Byli maltretowani na Szucha.

Co zastałaś w Pruszkowie?

Jak ocknęłam się w Pruszkowie to siedziałam na betonowym podwyższeniu, przy jakiejś maszynie w halach kolejowych. Ta betonka była nieco wyżej i myśmy na tym przycupnęli. Potem gdzieś chodziłam między ludźmi. Tłum ludzi. Ludzie leżeli, ludzie płakali, ludzie się modlili, ludzie się bili, coś sobie wyrzywali. Rozpacz w połączeniu z chaosem. Z chaosem, z chęcią życia, z chęcią śmierci, z chęcią zakończenia tego. Nie umiem tego powiedzieć. Pomiedzy tym wszystkim chodziłam, bo gdzieś tam zupełną dawał, jakieś pielęgniarki chleb dawały. Komuś coś zabierano, ktoś coś oddawał. Dzielono się jakimiś różańcami, nie wiem skąd ktoś miał cały pęk różańców, które rozdawał. Ktoś wyrwał, jeden różaniec się rozerwał. To były takie sceny, których ja nie umiem opisać. Chodziłam między tymi ludźmi. Znalazłam żonę mojego brata ciotecznego z dzieckiem, ona miała siedmiomiesięczne dziecko w czasie Powstania, ośmiomiesięczne, bo w styczniu się urodził Jurek Celejewski. Zaczęłyśmy się skupiać razem. Ja już zapamiętałam, że my byliśmy na tamtej betonce. Tam była ciotka, tamta druga ciotka też tam była, ale gdzieś później odeszła i zagubiła nam się. Była też matka tej mojej bratowej ze swoją siostrą.

Jak długo byłaś w tym obozie w Pruszkowie?

Nie wiem ile czasu tam spędziliśmy, nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że jedną noc tam nocowałam albo może i nie... Może to był kawałek nocy... Znowu kazali wychodzić. Wyszyliśmy, w tej naszej grupce i przechodziłyśmy przez taki krzyżak kolejowy, drewniany. Niemiec stał i kierował. Przechodziłyśmy przez ten krzyżak, mnie skierował w jedną stronę, ciocię Jadzię też, bratową w drugą stronę, jej matkę w tamtą stronę i jej siostrę w tamtą stronę. Przeprowadzał selekcję. One krzyczały, że my jesteśmy rodziną. One poszły gdzieś tam i później się znalazły gdzieś na wsi, a myśmy poszły w drugą stronę, do bydłych wagonów. Zamknęły wagony i powieźli nas.

Wtedy jeszcze nie widziałaś, dokąd jedziecie? W jakich warunkach jechaliście?

Przed Częstochową, trochę otworzyli wagon i trochę powietrza wpuścili. Nie wiem gdzie to dokładnie było, czy to już było na stacji w Częstochowie W wagonach nie było ubikacji, było ciasno, nie można było usiąść, wszyscy jechali na stojąco, jeśli ktoś przykucnął, to inni się na niego przewracali. To było niesamowite. W pewnym momencie otworzyły się drzwi wagonu, wleciało trochę powietrza, wszyscy ludzie pchali się do drzwi, żeby trochę tego powietrza złapać, ale nie wolno było. Jakiś kolejarz w ciemnym mundurze, czarnym ubraniu, miał ogromny biały dzbanek i mówi: „Ja wam tu wody trochę przyniosłem”. I pyta Niemca czy wolno tę wodę dać, Niemiec kiwa głową, że tak. On tę wodę dał. Wszyscy chcieli tej wody, ta woda się rozchlapwała. Nie wiem czy po kropelce każdy dostał. Jedni mieli więcej. Wyrywali sobie ten dzbanek. On krzyczy: „Oddajcie ten dzbanek. Ja wam przyniosę tej wody, nie bójcie się, inni przyjdą!” Zabrał ten dzbanek, odwrócił się, a Niemiec do niego strzelił. Nie wiem czy go zabił, czy tylko ranił. Drzwi się zamknęły i koniec, już nie było odwrotu. W międzyczasie ktoś powiedział, że jeżeli pociąg pojedzie w tę stronę to pojedziecie na wolność, jak w drugą stronę to do Auschwitz. Czekaliśmy, no i pojechał w stronę Auschwitz...

Pierwsze myśli, odczucia...

Jak wjechaliśmy do tego obozu, to od razu odczułam takie dygotanie drutów. To była noc, one tak brzęczały tym naelektryzowaniem. To było coś, co od razu człowieka zniewalało, ja to tak odczułam. Byłam od razu gotowa iść na te druty, one przerażały, ale i przyciągały. Nie wiem, nie rozmawiałam o tym z nikim, ale coś takiego odczuwałam. Później jeszcze raz coś takiego odczułam, też tam. No i znowu psy, znowu selekcja. Mężczyźni osobno, kobiety osobno, mali chłopcy poszli z kobietami i z dziewczynkami. Pędzono nas drogą. W oddali widać było jakieś ognie, tak jakby jakieś duże kwadraty się paliły, w jednym miejscu, w drugim miejscu, w trzecim miejscu coś płonęło. Swąd był niesamowity. Swąd kości, włosów. Podobno właśnie palili ludzi w tych dołach. Wisiała jak gdyby mgła tego swądu w tym obozie. Wpędzono nas do baraku, gdzie nie było ani prycz, ani niczego. Wwieziono wózek z wodą. Była strasznie mętna, żółta i cuchnąca, ale woda, wreszcie woda. W tym baraku, na ziemi była dość wilgotna glina, trzeba było znaleźć miejsce, żeby się gdzieś położyć, żeby jakoś spać.

Czyli w tym baraku ludzie spali na gołej ziemi?

Oczywiście, że spali na gołej ziemi, nic nam nie dano. Opowiadałam Wam wcześniej o paczce mojego ojca, którą zostawiłam. Córka pana Chełmińskiego – dozorkcy, znalazła się też w tym obozie. Była trochę starsza ode mnie. Jak ona nas zobaczyła, to zapytała czy może być z nami, bo przecież znałyśmy się. Powiedziała, że tu jest jeszcze taka pani, też z ulicy Kaczej i spytała czy ta kobieta też może być z nami. Zawsze to jest bratnia dusza, ktoś znajomy. Ona przyszła z całą gromadą różnych maneli, my miałyśmy tylko to co na sobie, a ona miała paczki. Wśród tych paczek była paczka mojego ojca. Ja mówię, że to jest paczka mojego ojca, ona się zaczęła wykręcać, ja jej mówię, że na pewno, bo tu są sznurki z gilzami, mówię, co jest w tej paczce. Moja ciotka zaczęła mnie odsuwać, mówi: „Co ty?! Nie kompromituj się!” Później może inaczej ciotka by reagowała. Ja mówię, że to na pewno jest paczka mojego ojca. Ona powiedziała, że jak otworzymy i będzie tam to, co mówiłam, to zobaczymy. Rozwiązaliśmy tę paczkę, a tam było to futro i ona mi pozwoliła pierwszą noc spać na tym futrze. Nie spałam więc na gołej ziemi, spałam na futrze mojego taty. Później to wszystko trzeba było zwinąć i zabrać. Chodziliśmy, jeszcze chyba dwa dni, bez niczego zupełnie. Nie dawali nam jeść. My miałyśmy ze sobą woreczek grochu, ten groch był nie luskany, brałyśmy go do ust i żułyśmy bardzo długo, aż ta łuska odpadła i później, takie zmiążdżone, zmieszane ze śliną lykaliśmy. Gienia Chełmińska miała chyba słoninę, a ta pani miała cukier. Każda z nas coś dawała, dzieliłyśmy się tym nawzajem. Więźniarki, które już były w obozie, podobno, rzekły się jakiejś części zupy. „Kible” z tą zupą, bo to się tak mówiło: „kible”, trafiły do nas. Po troszeczku tej zupy dostałyśmy. Nawet nie pamiętam, w czym tę zupę jadłyśmy, wtedy się wydawała nadzwyczajną, pyszną zupą.

Jak ogląda się zdjęcia czy filmy z obozów to ludzie są w pasiakach. Czy Niemcy ubrali was w pasiaki?

Wtedy jeszcze nie. Jeszcze byliśmy w swoich ubraniach. Rano, drugiego dnia, ustawiono stoły na podwórku, gdzieś nas pognano. Ja topografii obozu nie znałam, nawet nie wiem, czy umiałabym pokazać, w którym to było miejscu. Stanęliśmy przy stole, spisywano nas, zabierano biżuterię i pieniądze, zabierano ubrania. Dawano takie torby, a ubrania do toreb. Zostawałyśmy tylko w takiej jednej sukieneczce, wszystko trzeba było oddać. Pakowano to w torby i zabierano. I popędzili nas do sauny. Tam były takie pomieszczenia, podobno to się nazywało „fryzjernia”. Tam kobiety, przeważnie Żydówki, zajmowały się stryżeniem włosów. Strzygli każdą z nas, niektórym odpuścili to stryżenie, ale akurat mi bardzo źle zgolili głowę. Ja miałam gęste bardzo włosy, kręcone i pewnie trudno było je obciąć maszynką, a ona musiała szybko to robić, więc mi pozadzierala skórę. Stamtąd musieliśmy przejść przez drzwi, w tych drzwiach stała głęboka miska z jakimś płynem, trzeba było w tej misce zanurzyć głowę. W tej misce były insekty z głów ludzi, którzy je mieli, przyczepiały się cudze włosy. Te insekty wchodziły, lało się to po twarzy, do oczu, szczypało, to był jakiś żrący płyn. To było straszne. Później, rozebranych do naga, wypędzono nas na dwór. Staliśmy na dworze, na słońcu, z ogolonymi głowami, strasznie to piekło, to było bardzo męczące. Trzymano nas tak do nocy, a może całą noc, już nie pamiętam. Wieczorem, jak zapaliły się światła na tych drutach, te druty znów tak brzęczały, to ja miałam ochotę pójść na te druty, już nie mogłam, nie miałam siły tego wszystkiego znieść. Te obrazy, które się przewijały, ta nagość tych ludzi, dzieci, kobiet, staruszek, to było...

W naszym domu, w czasie okupacji, było małżeństwo, po które przyszli Niemcy. Oni mieli małe dziecko. Niemcy zabrali tych rodziców na oczach tego dziecka. Nie wiem, co się działo w tym mieszkaniu, ale to dziecko straciło władzę w nogach. Opiekowała się nim babcia, taka nobliwa staruszka, zawsze chodziła w czarnej sukni z białym koronkowym kołnierzykiem. Wozila tego wnuczka na wózku. Miał wtedy może ze dwa i pół roku. Jak jego rodzice zostali zabrani miał może półtora roku. I on się znalazł w Auschwitz, na wózku i ta jego babcia też. Ta babcia rozebrana do naga, z ogoloną głową, nachyliła się nad dzieckiem, a to dziecko się jej boi, krzyczy, nie poznaje, że to jego babcia. To był wstrząs dla babci i wstrząs dla mnie. To były straszne rzeczy. Owłosienie wszędzie było ogolone. Później wpędzono nas

znowu do sauny, ale już nie strzyżono. Musiałyśmy przejść przez taki dołek. Trzeba było zanurzyć nogi, żeby zdezynfekować i do kąpieliska. Byłyśmy radosne, że tu się wykapiemy, zmyjemy to wszystko z siebie. W ciągu dnia piłyśmy wodę z jakiegoś rowu. Weszłyśmy do tego kąpieliska, prysznic i nie ma wody. W pewnym momencie poleciało trochę wody, gorąca, ukrop, po chwili zamknęli i już nie było. Wysłaliśmy inną stronę, tam były wyrzucone te nasze ubrania, nie te z tych toreb, tylko te, z których się rozebraliśmy przed wejściem do fryzjerni. Poszły do parówki. Ubrania z tej parówki były gorące, trochę wilgotne. Mogłyśmy wziąć nasze i jakiś stos innych ubrań, pewnie po zamordowanych ludziach, tych, co poszli do krematorium od razu. Z tego stosu ubrań można było sobie coś tam dobrać. Ja znalazłam swoją własną sukienkę, ale nie znalazłam już żadnej bielizny i miałam te sandaalki, w których byłam. Mój kożuszek nosił taki malutki chłopczyk, bo w tej parówce tak się zbiegł, że na mnie już by nie wszedł, a ten chłopczyk był malutki, może mu ciepło było przynajmniej przez jakiś czas, jeżeli mu go nie zabrali znowu. Popędzili nas do baraków, to było już w nocy, weszłam do baraku na FKL-u szesnastym. Szesnasty barak, to były FKL, podobno to były baraki najgorsze. Weszłam do tego baraku, było tam zupełnie ciemno. Nie wiedziałam jak się poruszać, a tam za nami krzyki, żeby prędzej wchodzić. Nie było tam miejsca, wreszcie gdzieś na górze ktoś pyta: „A kto ty jesteś?” Na mnie mówiono Lilka, zresztą taki pseudonim miałam. „Nie masz gdzie, to choć tutaj”. Podał mi ktoś rękę i weszłam na najwyższą pryczę. Tam były jakieś kobiety i one mówiły do siebie: „Patrz! To dzieciak! Słuchaj, to dzieciak. Skąd ty jesteś?” Ja mówię: „Z Warszawy”, a one: „A co w Warszawie?”, „Powstanie”, „Powstanie w Warszawie!?” No i musiałam opowiadać i opowiadać o Powstaniu, one były tym zachwycone. Wreszcie usnęłam. Dały mi chyba kawałek chleba. Jak się obudziłam rano, to leżał koło mnie kawałek chleba, a ich już nie było. Kto to był, co to były za kobiety, kim one były, nie wiem. Wtedy zaczęliśmy już żyć w tym baraku.

Czy byliście jakoś skategoryzowani jako więźniowie?

Mieliśmy oznakowanie więźnia politycznego. Wszyscy z Warszawy, dzieci z Powstania Warszawskiego, byli nazywani bandytami warszawskimi: „Banditen Warschau”, inaczej się do nas nie odzywano. Na pasku przyczepionym do ubrania mieliśmy numery. Pasiaków dla nas nie starczyło, zresztą dziecięcych pasiaków nie było. Na przedzie ubrania musiał być naszyty pasek z numerem, ja miałam 84 628, winkiel, czerwony trójkąt z literą „P”, to znaczyło – więzień polityczny, Polak. Na plecach, na takiej kapotce, którą znalazłam, był wycięty prostokąt rozmiaru A5 i w to wszyty pasiak. Inne dzieci miały sztrafe, tak się nazywało czerwoną linię, z olejnej farby, a kobiety miały „KL” – Konzentrationslager. Więc i tak byliśmy oznaczeni, czy w pasiaku, czy nie.

Opowiedz nam o baraku do którego trafiłaś.

Było tam około pięćset dzieci. Działy się tam różne rzeczy, trudno o tym opowiadać. Ja mam swoją wersję wolności, bo tak jak Wam mówiłam, wolność była w czasie Powstania, na tym podwórku. Wolność była wtedy, kiedy stałam w bramie na Okopowej, któregoś dnia Powstania. Naprzeciwko był taki pawilon apteczny, stamtąd wyszły dziewczyny w białych fartuchach, dziewczyny w harcerskich mundurach, lekarze, mężczyźni, z białą czerwoną flagą. To było po południu, i zaśpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Myśmy, dzieciaki stanęli na baczność, a nie mogłyśmy wyjść z tego wgłębienia bramy. Myśmy to widziały. Ja nawet kiedyś o tym opowiadałam i jedna z koleżanek harcerek powiedziała, że one miały tam punkt opatrunkowy. Stamtąd, wieczorami, odwoziły rannych do szpitala św. Łazarza. W tym obozie, w tym baraku, też byliśmy w jakiś sposób wolni. Jeżeli nas nie bito, jeżeli nie musiałyśmy stać na apelu na dworze, chciało się wyjść z tego baraku na zewnątrz, ale na zewnątrz to była „blokszpera”, wchodziła do baraku jakaś taka „lagerteste” i krzyczała: „niech jedno dziecko na łagrze spotkam, to tu trupem padnie!” No i nie można było wychodzić wtedy z baraku, w ogóle nie można było wychodzić, nawet do „waszraumu” czy do latryny to nas wyprowadzano całym barakiem, wszystkich razem.

Wszystkich w tym samym czasie?

Tak. Ta latryna była straszna. Może nawet wstyd o tym mówić, ale chyba muszę Wam powiedzieć, jak to wyglądało w takim zbiorowisku. To był jeden barak, wzdłuż którego były dwie szerokie dechy. W dechach były otwory: z jednej i z drugiej strony. Kiedy już nas wyprowadzano do latryny, to kilka bloków naraz. Wszyscy wpadali do tego baraku i kto pierwszy usiadł na tej desce, ten mógł się spokojnie załatwić. Następni to potem już stali przy nim, dosłownie koło niego. Przed sobą miało się tę osobę, która się załatwiała – starszą kobietę, czy młodą, czy dziecko. Stało się w grubej warstwie środka dezynfekcyjnego, czy chlorku, czy czegoś. To była taka gruba maź biała, bielusieńka i myśmy w niej stały, żeby się dostać do tego jednego otworu, a w tej mazi laziły ogromne białe robale. To naprawdę było straszne.

W baraku nie było miejsca gdzie można było się załatwiać?

Jak wyprowadzali nas raz, czy dwa, w ciągu dnia, to dzieciaki, zaziębite jeszcze, nie wytrzymały. Siusiały na pryczach. Nie było materaca, nie było żadnych sienników, to były jakieś strzępy sienników, co w tych siennikach było, to nie wiem. Jak się ruszyli ci na górze, to ci na dole mieli na głowach pełno jakiegoś śmiecia, a jak ktoś się posiusiał, to lało się bezpośrednio, nie mówiąc już o innych rzeczach. Dziewczęta miały nawykowe zaparcia. Jakieś choroby pęcherza, bo po prostu nie było jak tych spraw

załatwić. Zaczęłyśmy się troszkę buntować. Był w bloku, jeszcze na FKL-u, w bloku 16 A, mały kącik. Tam postawiono kible, zdezelowane kible – te, które kiedyś służyły do zupy. Starsze dziewczynki zdecydowały się na to (wyznaczone były dyżury), że będziemy te nieczystości wnosić. Te kible były bardzo ciężkie, nie wolno ich było wnosić jak była zapelniona tylko połowa. Kiedyś, jak je wносиłyśmy, rolwaga jechała.

Rolwaga?

To był wóz ciągnięty przez ludzi. Mężczyźni dobiegli do nas i pytają, co to, my mówimy. Powiedzieli, żebyśmy pamiętały, że oni zawsze o tej porze, co drugi dzień tędy jeżdżą, żebyśmy wtedy brały dyżur, to oni nam pomogą. Nie wiem czy innym też pomagali, ale nam kilka razy bardzo pomogli (później, po wojnie, spotkałam się z panem Czekalskim, który był jednym z tych z tej rolwagi. Napisał nam takie oświadczenie, bez naszej prośby zresztą). To był taki ruch oporu.

Ruch oporu? W Auschwitz był ruch oporu?

Tak, to była jedna z akcji ruchu oporu. Tak jak i akcją ruchu oporu, było to, że nas spisano. Poza tymi spisami oficjalnymi, które były, które potem zostały zniszczone, żeby zatrzeć wszelkie ślady, zostały listy pisane przez kobiety. Wszystko, co było przeciwko Niemcom, to było ruchem oporu. Mam nawet jedną taką listę, ksero listy z pieczętką Auschwitz, na której jestem ja i moja ciotka.

Zdarzały się też inne akcje. Jak blokowa dzieliła chleb, to na barak dostawała całe bochenki chleba, nam się należała jedna piąta bochenka, ale ona tak kroila, żebyśmy dostawałyśmy jedną szóstą. Ona miała zapasy chleba, a za chleb można było w obozie niemal wszystko dostać (kupowali biżuterię i wszystko inne, ktoś przechował, ktoś miał z „kanady”, to znaczy z tych baraków, gdzie się te wszystkie dobra zbierało), w każdym razie miała tam kontakty jakieś. Dziewczyny się komuś poskarżyły, że są mniejsze porcje chleba niż być powinny, a w takich warunkach liczył się każdy okruszek. Ci z ruchu oporu przekazali jej (nie wiem czy to do Niemców dotarło czy nie), że chleb musiał być krojony, ale zostawać na skórze, ta spodnia skóra nie mogła być przecięta. Jak się złożyło, to było widać, że jest pięć porcji, a nie sześć. Dla nas to było znaczące. Mnie jakaś kobieta, z tego ruchu oporu, dała bryłkę soli i mówi: „Jak nie będzie blokszpery, to idź do babek, one bardzo potrzebują soli”. Nie wiem, dlaczego starsze kobiety tak bardzo potrzebowały soli. „One chleba nie jedzą, to one ci dadzą chleba za tę sól”. Ja rzeczywiście tak zrobiłam, ale zbierałam sobie ten chleb, żeby się najeść naraz. Jak nazbierałam cały woreczek, to w nocy mi ktoś ten chleb ukradł. Kiedyś szczur dzielił się ze mną, przy mojej głowie siedział i jadł, bo w takim woreczku pod głowę położyłam.

Pomagaliście sobie?

Były różne formy pomocy. Kiedyś dodatkowo rano zupa została przywieziona przez jakieś kobiety. Zupa była z taką melką, to się melka nazywało. Wtedy to było coś fantastycznego, bo rano to były tylko ziola, kawa, chleb, od czasu do czasu kawałek margaryny, a dopiero na obiad zupa.

Jakie to były zupy? Z czego?

Zupy były różne, z jarmużu, z kapusty, z pokrzyw. Ja nie powiem, że to nie mogło być zdrowe, może, ale kiedy je się też coś innego. Nie każda z nas miała miskę, niektóre miały tylko kubeczki, ja miałam tylko kubeczek. Jak tą chochlą nalewano tę zupę, a zupa była z kapusty, było pół liścia albo cały liść, to on zakrył i nic się nie nalalo, chociaż tej gorącej wody. Najlepsza była zupa z brukwi czy czegoś innego, dość gęsta, zasypywana kaszą czy jakimś grysikiem, ta była najlepsza, tylko miała bardzo dużo robaków, białych, małych glizdek. Trzeba było albo zjadać nie patrząc, albo wybierać, jedno z dwojga. Jeśli zupa była z pokrzywy, to były w niej całe pokrzywy, jarmuż też.

Barak był jakoś myty, czyszczony?

Gnębił nas bardzo brud, bałagan, zimno. Musiałam dół sukienki, w której spałam zawiązywać sobie na górze, nad głową, dlatego że byłam na najwyższej pryczy, a tam na suficie były wióry i w tych wiórach gnieździło się mnóstwo pluskw. One spadały na całe ciała, wchodziły do nosa, do uszu, do oczu, więc się głowę owijało sukienką. Kiedyś wstałam i byłam cała wykropkowana na czerwono. Tak byłam pogryziona, że flagierka chciała mnie wziąć na rewir. Były protesty, krzyki, awantury, dwie noce spałyśmy na dworze, a oni włożyli jakieś świece dymne, od których te wszystkie pluskwy zdechły. Przestało nas przynajmniej to gnębić.

Nie wolno Wam było wychodzić z baraku, ale były chyba apele.

Te apele nas bardzo gnębiły, na apele musiały wychodzić wszystkie dzieci, i te małe bardzo, i kobiety w ciąży, bo w naszym baraku były też kobiety w ciąży, i dzieci niepełnosprawne. Była taka dziewczynka, która nie chodziła, ona stała siedziała z rozstawionymi nóżkami i się kiwała, tak jak takie dzieci nieszczęśliwe, ona chorowała na durfał. Nie dawała sobie sama rady, a jej mama była w baraku dla matek, chodziła do pracy, nie mogła się nią opiekować, nie mogła do niej przychodzić, a ona też musiała wychodzić na apel, więc wynoszono ją, wyciągano, ona siedziała i rozstawione miała nogi. Auzierka jak chodziła sprawdzać czy równo stoimy, to zawsze ją kopała, albo deptała te nóżki. Wzięłyśmy ją w środek, między nas, żeby jej nóżki nie wystawały, żeby jej nie kopała, to tak jak nigdy, ta auzierka (taka szczupła

blondynka, nawet ładna kobieta), jak nigdy, nie przechodziła między szeregami, to wtedy, jak zobaczyła to weszła między szeregi i znów ją kopala w te nóżki. Ta dziewczynka miała 9 lat, ja nie wiem czy ona zdawała sobie sprawę z tego, że jest tak strasznie maltretowana. Pewnego dnia, gdy wysłyszmy na apel, była mniejsza liczba dzieci. Wszystkie te dzieci zostały zabrane, wiadomo co się z nimi stało. Kiedyś poszłam do tego małego waszraumiku w baraku, gdzie te kible były, żeby się załatwić (tam było okno zabite deskami), ja wdrapałam się na murek (bo usłyszałam jakiś hałas), wyjrzałam przez szpary w deskach i zobaczyłam, że szły kobiety z narzuconymi na głowy kocami. Szły w takim szpalerze, piątkami (bo tam się piątkami chodziło), w szpalerze z umundurowanych Niemców z karabinami, psy wokół nich. Gdzieś je prowadzili, już więcej nie wrócili. Podobno to były partyzantki jugosłowiańskie, ale ja tego nie wiem, bo tam były i Węgierki. Te Węgierki też zniknęły.

Co w tym czasie działo się z Twoją ciocią? Miałas z nią jakiś kontakt?

Matki były na bloku obok, więc od czasu do czasu można było chociaż pomachać ręką, chociaż po apelu, na chwilę je zobaczyć, jak nie było blokszpery, to coś tam sobie podać. Ciotka też tam była. Ona podała się za moją matkę, miała to samo nazwisko. Pewnego razu zabrali te matki gdzie indziej, na lagier BIIB (mówiło się: be cwaj be) to była rozpacz ogromna. Właśnie wtedy ruch oporu, ci panowie, przynieśli nam kartki od matek. Ja dostałam od ciotki. To był skrawek szarego papieru. W obozie nie było papieru, nie było ręczników, nie było papieru toaletowego, jak te wszystkie rzeczy załatwiać? Nie było poduszek, nie było żadnych prześcieradeł, nie było żadnej pościeli, były tylko strzępy koca, jeden koc na całą prycze, jak jedna się zakryła, to dla drugiej już nie starczało. Ta kartka przyszła do mnie, zmięta, zwinięta. Okazuje się, że ten pan, który ją przyniósł, powiedział, że zaraz wróci i żebym odpowiedziała. Ciocia mi napisała: „Żyję. Jestem zdrowa”. I podała swój numer. Ja po drugiej stronie odpisałam jakimś kawałkiem ołówka: „Żyję. Jestem zdrowa” (ten ołówek umieściłam w bloku między ceglami, teraz prosiłam koleżankę, żeby sprawdziła czy on tam jeszcze jest). I oni to zabrali. Wiedziecie, że oni sobie na naszych oczach, chociaż pewnie nie powinni byli (ale wiedzieli, że my ich nie wydamy), w obrębek czapki z pasiaka wkładali te nasze karteczki, w obrębek mankietów, czy jeszcze gdzieś i tak przenosili z tą rolwą, na lagier BIIB, na którym były nasze matki.

A czy w Auschwitz naprawdę były eksperymenty na ludziach? Czy zdarzało się, że kogoś zabierano z baraku w niewiadomym celu?

Różne rzeczy można by opowiadać. Kiedyś też przyszedł jakiś lekarz czy fleger – nie wiem, kto to był – w cywilnym ubraniu i sprawdzał naszą czystość, czy nie ma świerzbu. Sprawdził mnie i zostałam odesłana na prycze. A później któraś z koleżanek powiedziała, że u mnie widziała: że ja mam świerzb. Już wtedy nie było ratunku. On mnie zabrał. Już nie dołączył do tej grupy, która miała być odprowadzana na smarowanie na świerzb, tylko zabrał mnie ze sobą. Przeszliśmy kawałek obozu do bloku numer 25, który był od nas odgradzony murkiem. Wiedzieliśmy, że blok numer 25 to jest tak zwany blok śmierci u kobiet. To nie jest 11 w Auschwitz, tylko w Birkenau, na FKL-u. Wprowadził mnie tam i zostawił. Tam były kobiety, które coś robiły. Jedna z nich mówi: „Co ty tu robisz?” Mówię: „Przyprowadzono mnie, bo ktoś mnie oskarżył, że mam świerzb”, – „A masz?” Mówię: „Nie, nie mam”. Bo nie miałam. Ona mówi: „To bądź cicho. Chodź ze mną”. Wprowadziła mnie do środka baraku. Było tam zupełnie ciemno. W rogu baraku kazała mi usiąść, zakryła mnie kocem i mówi: „Siedź dotąd, aż ja do ciebie przyjdę. Nie podnoś się, nie odzywaj się... nawet nie oddychaj, żeby cię nie było słychać – ktokolwiek będzie, cokolwiek się tu będzie działo”.

Przytuliłam się tak jakoś i siedziałam w tym baraku. W nocy zaczęły się hałasy i zapaliła się lampa. To, co zobaczyłam przez maleńką szpareczkę – bo się nie ruszałam, tylko tyle, żeby oddychać – to nie było prycz w tym bloku, przynajmniej z tej strony, z której ja byłam, tylko na środku stał ogromny stół. Na tym stole coś robiono kobietom. Nie wiem co, ale były straszne krzyki. Pod taką dużą lampą coś z nimi robiono – nie wiem, kto to był, nie wiem, co to było, tylko to słyszałam.

Dopiero rano – już później znów zgaszono te lampy – przyszła po mnie... Powiem szczerze, że zaczęłam się tam później bać, i chyba od tamtej pory nie gaszę zupełnie światła na noc, tylko gdzieś maleńką lampkę muszę mieć zapaloną żeby widzieć, co się dzieje, bo od tamtej pory prześladowają mnie nieprzyjemne rzeczy. No i przyszła po mnie ta osoba i mówi: „Chodź”. Wmieszała mnie w dzieci, które były chore na świerzb, i smarowano mnie maścią na świerzb. Jeszcze jedna powiedziała: „Słuchaj, po co jej ta maść? Przecież ona ma zupełnie gładką skórę”. Nie miałam świerzbu – dziewczynki miały, inne dzieci miały, najczęściej między palcami rąk, pod kolanami, w zgięciach łokciami. Miały też na brzuchu.

Kazała się rozebrać. Rozebrałam się, na brzuchu też nic nie było, ale mówi: „Smaruj, smaruj”. I jakoś mnie wprowadziły w te dzieci, które przyszły z naszego bloku, i wróciłam na swój blok, i musiałam codziennie ileś tam razy chodzić z nimi na to smarowanie.

Ale co się strachu najadłam, to się najadłam, bo blok śmierci – to już się trochę wiedziało co to jest.

Trochę wiedziało? Czy Wy jako dzieci, mieliście świadomość tego, w jaki sposób zabijano ludzi w obozie?

Jednego dnia, część nas blokowa popędziła, poza normalną sauną, popędziła, też mówiło się, że do sauny, ale to była to komora gazowa. Tam były młodsze ode mnie dzieci i takie jak ja, większych chyba nie było, może z siedemdziesiąt parę nas wtedy było. Wpędzono nas do tego jednego pomieszczenia, kazano się rozebrać. Tam były takie ławeczki, zostawiliśmy swoje ubrania i buty. Weszliśmy do szarego, ponurego pomieszczenia, gdzieś tam maleńka lampka się świeciła. Były tam takie jakby prysznice, ale dzieciaki zaczęły się chować pod ścianami i mówiły: „A tu puszcza gaz, a tu puszcza to”. Tam był taki murek. „Chodźmy na murek, bo wiecie, tu się...”. Dzieci już wiedziały. Ja powiem szczerze, że tego nie wiedziałam, ale te dzieciaki mówiły: „Patrzcie, patrzcie, tu się ta podłoga rozejdzie i my tam wpadniemy wszyscy”. I rzeczywiście, na podłodze była taka dość szeroka zębatka, tak się ząbały metalowe części. Z jednej i z drugiej strony były drzwi, tam było widać jakieś wózki, taczki. Słychać było krzyki po niemiecku: „Halo! Halo!”, cały czas, wrzaski. Co jakiś czas Niemiec, purpurowy na twarzy, w mundurze niemieckim, wchodził do naszej sali, przechodził i walił siebie samego bacikiem po cholewach, wściekły, zły. Nie wiem czy miał nas zastraszyć. My się pochowaliśmy po kątach, a on chodził w tę i z powrotem. Dla nas to trwało wieczność. Stał w tych drzwiach i krzyknął: „Raus!”, takim strasznym głosem. My wylecieliśmy jak na skrzydłach, natychmiast, nie wiem jak się nie pozabijaliśmy w tych wąskich drzwiach, nie wiem. Zabraliśmy ubrania i wybiegliśmy na zewnątrz. Wyszliśmy stamtąd, blokowa zaprowadziła nas z powrotem na nasz lagier i z daleka zobaczyliśmy, że idzie kolumna kobiet. Któraś dziewczynka poznała wśród nich swoją matkę i krzyczy: „Matki wracają! Matki!” Rzeczywiście matki wracały, te co były zabrane przedtem. Nie wiem, czy to miało jakiś związek z tym, że zaprowadzono nas do komory, trudno powiedzieć. Nie wiem, czy wszystkie dzieci miały zostać też zaprowadzone. Ile się naraz mogło tam mieścić? Dlaczego tylko około siedemdziesięciu, a nie wszystkie pięćset? Matki wróciły, nie mogliśmy się z nimi spotkać, ale sama świadomość, że one tu są powodowała radość.

Czyli nikt nie wiedział, dlaczego was tam zaprowadzili, dlaczego was wtedy wypuścili?

Nie wiem dlaczego? Nikt nie wiedział dlaczego. Czy czegoś zabrakło? Czy może mieli awarię? Może mieliśmy szczęście, w tym nieszczęściu? To tak jak mówi poeta: „Pan Bóg łaskaw na sierotę”. Może tak było. Później już nadeszły bardzo zimne dni, był chyba listopad.

Cały czas byłaś w tym samym baraku?

Wprowadzono nas z tego baraku, bo było strasznie zimno. Tam były tylko piecyki, na których sztabowe gotowały sobie jakieś pierogi, wśród głodnych dzieci roznosiły się te zapachy. To była dodatkowa udreka. Przeprowadzili nas na tak zwany lagier cygański. Z FKL-u, z bloku 16A przeszliśmy na blok 6 czy 5, nie pamiętam. To były drewniane baraki, kiedyś podobno były tam stajnie, więc po środku był piec. Komin zamiast do góry szedł przez środek, czyli jak się paliło, to ten dym przechodził przez piec i wtedy było ciepło. Czasem siadałyśmy na tym piecu. Kiedy weszliśmy do tego baraku na cygańskim lagrze, to zobaczyłam inne prycze niż w poprzednim baraku. Całe czarne i na nich wielkie, ogromne, kudłate, czerwone koce. To była taka trochę konsternacja, niektóre dzieciaki tego w ogóle nie widziały, bo od razu zaczęto nas wołać na apel i nie zdążyły wejść do baraku. Ja weszłam i od razu wybrałam sobie wysoką prycę, tam położyłam swój woreczek, kubeczek i łyżkę, będę miała prycę dla siebie, wzięłam ten koc do ręki, był ciepły, nareszcie będzie ciepło, pomyślałam. Wyszliśmy na apel, później znowu do sauny. Wróciliśmy do baraku, a tam, przed barakiem leżały te koce na stosie, wszystkie zabrane, mój woreczek i kubeczek leżą na piecu, blokowa stoi i pyta czyje to jest, każdego pytała, mówię, że to moje, a ona mnie zaczęła bić pejcem, bo zajęłam sobie prycę. Później nie miałam żadnej pryczy, dzieci sobie pozajmowały jak ona mnie biła. Do jakichś koleżanek się przytuliłam i byłam na samym dole, ale nie na podłodze tylko na deskach. Zabrano nam te koce, mieliśmy te, co poprzednio, jakieś cienkie derki.

Było tak zimno, że nie można było w nocy spać. Ja nie mogłam spać z zimna. To był koniec listopada, zaczynał się grudzień. Już zaczęłam mieć spuchnięte nogi, zaczęłam już puchnąć. Nogi puchły z zimna, bo ja nie miałam pończoch. Matki były na innym bloku, była ta sama blokowa, też zabraniała wychodzić. Wróć do tego wątku wolności. Jak się było w baraku, to na zewnątrz była wolność, zakazana bo blokszpera, jak się było na dworze, to wolność była za drutami, a za drutami zakazana bo okupacja. Stale wolność gdzieś człowiekowi uciekała, ale była gdzieś w naszych umysłach. Kiedyś doszłam do drutów, był pogodny jesienny dzień, stanęłam i zobaczyłam nasze góry i poświatę zachodzącego słońca, lekko różową. Mnie to zachwyciło, w tym brudzie, to piękne słońce, te piękne nasze góry, one mi powiedziały: „Żyj!” Ja wiedziałam, że tam jest życie, tam jest Polska, może czeka tam mój brat, może mój ojciec, może tam są, może palą w piecu. Stale sobie wyobrażałam, że jak wrócę na wolność, to tam będzie siedzieć przy piecu cała rodzina, jest ciepło, ja wchodzę i oni się cieszą, że wróciłam. Tak wyobrażałam sobie mój powrót. Tak wtedy myślałam, że jeszcze jest normalny, piękny świat. Drugie takie przeżycie, o tym normalnym świecie, miałam później w Berlinie, też przeżyłam coś takiego.

Czym różniła się codzienność w tym nowym baraku? Raczej nie zostawiano dzieci samym sobie, czy musieliście coś robić skoro nie pracowaliście?

Robiono nam różne zabawy, konkursy. Zrobiono konkurs na czyszczenie prycz w ten sposób, że trzeba było szkłem, kawałkami szkła – było tam potłuczone szkło, czyścić tę powierzchnię polakierowaną na czarno. Wszystkie prycze musiały być wyczyszczone i myśmy dzień po dniu czyściły to szkłem – do białego trzeba było zdrapać. To nie jest tak łatwo robić szkłem, zwłaszcza dzieciom (w naszym wieku) czy jeszcze młodszym od nas. Tak, że to była dosyć trudna praca. To niby miał być konkurs, że za to coś tam będzie, jak ktoś będzie najlepszy. Myśmy się starały o to, żeby być najlepsze, ale nie było żadnych nagród. Potem tak dla zabawy, bo dla zabawy różne rzeczy robiono, lagerkapo zażyczyła sobie, żeby dzieci bawiły się w kółko. Wychodzimy na apel i po apelu mamy się bawić w kółko. Śpiewać i bawić się w kółko. Dzieci jak to dzieci: bawią się. Ona sobie wybrała dwoje czy troje dzieci i daje im czekoladę. A ktoś zrobił zdjęcia. Po zrobieniu zdjęć zabrała czekoladę. Więc dla dzieciaków, małych dzieciaków, bo były tam zwłaszcza małe dzieci, był to cios. Nieprzyjemne strasznie.

Blokowa urządziła nam też taką zabawę: każda dziewczynka miała mieć na sobie ładną sukienkę, czystą. Jak się ma jedną sukienkę, w której się chodzi dzień i noc, i śpi w niej, bo jest zimno to trudno żeby była czysta. Nie było przecież nocnej bielizny, nie było poduszki, nie było prześcieradła – nic z tych rzeczy. Był jeden koc na pryczę. No i myśmy miały się ładnie zaprezentować, a ona miała chodzić i sprawdzać. Więc z koleżankami z jednej pryczy, i jeszcze z jedną Stasia – chyba nazywała się Stasia Rutkowska. Te, które były ze mną na pryczy, to jedna nazywała się Irena Pacek, a druga Basia Zawodna – to nazwiska z tamtego czasu. Wcześniej na pryczach, to byłam z dwiema koleżankami, z którymi przed Powstaniem chodziłam do szkoły. Były to Alina i Alfreda Zawistowskie – je pamiętam. Pamiętam także, że na innych pryczach były dwie siostry Wojciechowskie, którym włosy ocalały.

Kiedy zrobiono nam konkurs na to ładne wygląkanie, to nie wypilałam ziółek, które dostałam rano, tylko zostawiłam porcję, żeby tymi ziółkami wyczyścić swoją sukienkę. Nie było gdzie: do Waschraumu nie wolno było chodzić, a jak się poszło, to tam było ledwo troszeczkę wody. To były dwie rury z dziureczkami i z tych dziureczek strzykała woda: to była cała woda, którą myśmy mogły umyć ręce czy coś. Wyobraźcie sobie, że wszystkie potrzeby fizjologiczne trzeba było załatwiać, a przecież nie było bielizny na zmianę, nie było papieru, nie było żadnej szmatki, nie było żadnego spuszczenia wody, tylko były dziury kloaczne. Podobno kiedyś nawet kobiety tam się topiły, bo to było gorzej zrobione.

Ten konkurs, myśmy bardzo się starały. Wiem, że uciełam kawałek jasnej pończochy, wyciągnęłam nitkę i nią obszyłam sobie czy jakoś ją przymocowałam do kołnierzyka, żeby wyglądało ładnie i zdawało mi się, że to będzie tak wyglądać. A blokowa przeszła wzdłuż bloku wobec nas wszystkich i kazała wejść na piec jednej dziewczynce, ubranej elegancko w ciuchy z „kanady” – „kanada” to była tam, gdzie myśmy ubrania składali – widocznie miała dostęp do tych rzeczy, i mówi: „Patrzcie, tak powinna wyglądać szanująca się dziewczynka, a nie tak jak wy, hołota”. Podniosła jej spódniczkę i pod nią była ładna koronkowa bielizna. Więc w stosunku do nas to wszystko było drwiną, upokorzeniem. Osobiście to najbardziej odczuwałam.

Upokarzano Was cały czas.

Może mało mówię o głodzie, o zimnie, o biciu, o innych rzeczach, bo to wszystko właśnie składało się na jedno wielkie upokorzenie. Jeżeli chodzi o głód, to musiał być, siłą rzeczy, to każdy już wie o tym, jakie tam były te porcje, jeszcze uszczuplane przez tego czy Tamtego. Może miarą tego, jak bardzo cierpieliśmy głód, niech będzie to, że dzieci, nawet te mniejsze starały się o... Robiły wszystko, jak to się mówi, przymilały się do tej, która rozlewała zupę, żeby móc wylizywać „kibel”. Zupa była różna. Różnie to było. Był czas, że zupa była zagęszczona, tylko były w niej robaki. Był czas, że zupa była zupełnie rzadka: gdzieniegdzie krupy i liście albo jarmuż, też w całych liściach. Ten jarmuż był ledwo sparzony, prawie nie do zjedzenia. Ta kapusta zresztą też. No, ale żeby mieć trochę tego gorącego... Dziewczynka, która uprosiła – nie wiem, sztabową, czy kogoś – żeby mogła wylizywać ten akurat „kibel”, który widziałam. Jak dostała pozwolenie, żeby to wylizować, to ten kibel przewróciła i stopniowo palcem wybierała, wylizowała – to była woda, tam gdzieniegdzie trochę krupów albo kaszy – i wchodziła coraz głębiej, że później tylko nóżki z tego „kibla” wystawały, a ona cały czas coś tam wylizowała czy palcem, czy buzią. Świadczy to o czymś, prawda? To było tuż koło mnie, widziałam to. Nie to, że ktoś mi opowiadał, tylko widziałam to.

W jakim wieku były te dzieci? Czy najmłodszymi ktoś się opiekował?

Jeżeli miały siostry, to tak. Na ogół ktoś się nimi opiekował. No tyle, ile było można, prowadził za rączkę na apel. Najmłodsze były chyba trzyletnie. Te dzieci były bardzo zapuszczone, bardzo zaniedbane, głodne. Jest charakterystyczna rzecz, że były to małe dzieci, a ja nie pamiętam płaczu dzieci z tamtego czasu. Jeżeli już, to może bardzo cichutko kwiliły. Ale płaczu nie – dzieci tam nie płakały. Ja tego nie słyszałam. Naprawdę. Nie uświadamiam sobie płaczu dzieci. Nawet malutkich, bo przez pewien okres były matki z malutkimi dziećmi, to też nie słyszałam, żeby płakały. Nie wiem, czy dzieci były zastraszone, czy to już taka atmosfera w ogóle z nas emanowała: ten strach, ten lęk przed wszystkim, że młodsze dzieci przejmowały to i nie płakały. Nie słyszałam płaczu dziecka, prawdziwego płaczu. Tak jak i zresztą nie przypominam sobie śmiechu dzieci.

Najstarsze miały piętnaście, szesnaście lat. Starszych chyba nie było. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale przy pięciuset dzieciach to trudno to wszystko wiedzieć.

Tak trwaliśmy – z różnymi perypetiami, z apelami, z kąpielami, pędzeniem nas do sauny, w której tylko ubranie dawaliśmy do parówki, my nago stoimy i nie ma wody, nie ma ręcznika, nie ma nic. Kiedyś były chyba ze dwa ręczniki, to trzy dziewczynki się wytarły i już były mokre. To naprawdę było bardzo ciężkie życie... Już nie będę opowiadać o tym, ile się trupów widziało. Jak się szło do sauny czy do latryny, to przed blokami leżały – bo tam były różne bloki. Był blok babek, był blok matek, był rewir, na FKL-u był blok partyzantek jugosłowiańskich, były Węgierki. Były w obozie kobiety różnej narodowości. Za drutami byli mężczyźni – wszystko było otoczone naelektryzowanym drutem, każdy sektor obozu. Tak dotrwaliśmy do Bożego Narodzenia.

Czy Boże Narodzenie było jakoś obchodzone? Czy ten czas różnił się czymś?

Ludzie z ruchu oporu dali nam choinkę, ktoś dał jakieś cukierki, które z „kanady” wyjął z jakiejś paczki. Ludzie dostawali tam paczki, my nie, bo byliśmy za krótko. Moja dalsza rodzina, do której wysłaliśmy list, mówi, że wysłali paczki, ale one do nas nie dotarły. Była choinka. Przyszedł Niemiec, kapo, starszy człowiek, ale też więzień, bo oni wszyscy byli więźniami tylko innymi. Przyszedł ten kapo, który, kazał nam biegać przed i po wyjściu z zauny. W zaunie była albo zimna woda, albo ukrop, albo żadnej, żadnego ręcznika, żadnego mydła. Potem trzeba było założyć ubranie z parówki, jeszcze gorące i wilgotne, i wyjść na dwór i znowu czekać, a on znowu kazał biegać: „Latać, latać!”. Ja sobie teraz zdaję z tego sprawę, że on nam pomagał. Ostatecznie można się było umyć w waszraumie, wspominałam wcześniej, z rurki leciało trochę zimnej wody.

Jak to, pomagał?

Kiedy staliśmy przed sauną, to wchodziło około trzydziestu dzieci, reszta stała na dworze, a on stale na nas krzychał, żebyśmy biegali. Dziecko wychodziło po kąpeli i po parówce, bo ubrania były dawane do parówki i potem były wilgotne na dwór i on kazał im biegać i biegać. Byliśmy na niego źli, dlaczego on nam każe biegać, chcieliśmy się skulić, a on nic tylko kazał nam biegać. Teraz rozumiem, że on nam właśnie w ten sposób pomagał, żebyśmy nie pozamarzali na tym mrozie. On przyszedł w Boże Narodzenie, z harmonią, i zagrał nam „Cichą Noc”. Zaczął nam opowiadać (tam były osoby, które znały niemiecki), że on też został więźniem, że ma dzieci i ma wnuki, że jemu bardzo nas żal. Na drugi dzień już tego człowieka nie było w obozie. Nie wiadomo, co się z nim stało.

Coś jeszcze szczególnego działo się w Świąta?

W Boże Narodzenie nie było blokshpery, więc mogliśmy iść do matek. Niektóre poszły do baraku babek, a myśmy poszły do baraku matek: ja do swojej ciotki, zawsze to ktoś bliski. Zresztą ona bardzo starała się mną opiekować. Jak nie mogłam jadać zup, bo bardzo mnie żołądek bolał, cierpiałam. Był okres, że zupy bardzo mi szkodziły, przez pewien czas nie mogłam jeść zup, więc chodziłam z kubeczkim swojej zupy, aż spotkałam ciocię i – tak w mgnieniu oka, gdzieś w przejściu – podałam jej ten kubeczek, ona wlała zupę do swojej menażki, a mi dała kawałek chleba. Kiedyś przez kogoś podała mi kawałek chleba, nawet z marmoladą. Ogólnie poszliśmy więc do matek, żeby się przytulić do kogoś bliskiego, żeby być razem. Blokowa weszła na blok matek i nas wypędziła, krzyczała, żeby wychodzić, myśmy się trochę buntowali, nie chcieliśmy. Kilka z nas, tych zbuntowanych, wróciło do bloku później – w wejściu do baraku, były wrota, później był piec, a z obu stron paleniska dwie furtki. Wchodzimy, a tam stoi blokowa, w jednej furteczce, to my do drugiej furteczki, tam jakieś dziewczyny nie wpuszczają, biegamy jak opętane, w koło tego baraku, nie możemy wejść. Zdecydowałyśmy się na wejście koło blokowej, a ona stoi w tym wejściu, z taką pyłą uplecioną z gutaperki (taki warkocz upleciony z gutaperki) i każdą z nas tłucze po nogach. Po nogach, bo się wtedy człowiek przewraca. Jak się uderzy pod kolanami, to się człowiek przewraca. Miałam pootwierane rany, bo przemarznięte nogi, rany miałam na nogach aż do marca, to się w ogóle nie chciało goić. Takie Boże Narodzenie nam zrobiła.

Świąta to już środek zimy, czy dostaliście jakiegokolwiek cieplejsze ubrania?

Już gdy zbliżała się jesień to zaczęło być zimno, zaczęło mi być bardzo źle w moich pantofelkach. Nie miałam żadnych pończoch, żadnych skarpetek. Na stos – po tak zwanej saunie, kiedy było brane ubranie do parówki – to jeszcze czasem dorzucali ubrania po dzieciach, które chyba..., no nie wiem, chyba zostały tam zamordowane, skoro te ubranka zostały: skoro część ubrań brali do toreb, a to, co mieliśmy na sobie tam znajdowaliśmy, to logika wskazuje na to, że te dzieci musiały zostać spalone. Rozebrano je przedtem, czy same się rozebrały i te części ubrań wyrzucano na stosy dla nas, żebyśmy mogły tam coś sobie znaleźć.

Znalazłam sobie pończoszki z dwuletniego dziecka, więc ledwo do kostki mi starczyły. Ale te buciki były już dosłownie nie do chodzenia, bo sandaalki na paseczki – przecież wykręcała się noga... Tam nie było trawy. W ogóle. Tam nie rosła trawa. W Birkenau była glina. Jak było sucho, to ta glina była bardzo twarda, ale jak był deszcz, to była mokra, śliska. Myśmy po tej śliskiej glinie chodziły... robiliśmy koleiny, wklęśnięcia. Chodzili przecież i w drewniakach, i w klumpach – to koleiny były mniejsze lub większe. Jak wiatr nocą przyszedł, wysuszył to, to zrobiło się tak, jakby się garnek lepiło z gliny: twarde, jak się

chodziło po tym – zawsze Schnell! Schnell! – to się nogi wykręcały. Wtedy paski przy sandałach się urywały i robiło się coraz zimniej.

Któregoś dnia zobaczyłam stos wyrzuconych bucików. Mówię: „Teraz sobie znajdę buciki”. Na samym wierzchu na stosie stała para bucików. Takich bucików, o jakich marzyłam w okupacji. Myślę sobie, znowu jakieś spełnienie marzeń. To były półbuciki dziewczęce, z pateczką w ząbki, z paseczkiem. Wzięłam sobie te półbuciki: troszeczkę ciasne, ale mówię: „To się chyba rozejdą”. Nic się nie rozeszły, były bardzo dobrze zrobione: te twarde zapiętki zaczęły mi obcierać pięty. Tam nie było czym sobie zabandażować, więc tylko kamieniem zbiłam zapiętki tak, żeby one zrobiły się płaskie. Ciężkie to było, ale mogłam nogę włożyć, a pięta mi wystawała, obcierała się, też tam robiły się jakieś odleżyny od tego. Bardzo mi w tym było ciężko, ale powiedziałam sobie wtedy – nie wiem dlaczego – że nie założę drewniaków i nie wezmę klumpów. Klumpy to drewniak wydrążone, jak gdyby holenderki, a drewniak to były buciki drewniane na grubych drewnianych podszewach. Byłoby lepiej, ale miałam wrażenie, że jak założę drewniak, to już z Auschwitz nie wyjdę. Nie wiem – takie przekonanie. Męczyłam się z tymi moimi bucikami bardzo, bo i zimno było, i deszczowo, i różnie.

Wreszcie kiedyś, po jakimś czasie, znów wyrzucono partię butów. Już wtedy nie patrzyłam jakie: jeden inny, drugi inny, ale z cholewką, zawiązane – żebym miała wygodniej. Więc jeden bucik miałam dziewczęcy: od łyżew, bo jeszcze blaszki były, bardzo elegancki, ładny, i szukam drugiego do pary – nie ma. Więc znalazłam jakiś chłopięcy „bokser”. Tamten był z wydłużonym szpicem, a ten był z obciętym. Ale już było cieplej i znalazłam jeszcze jakąś bieliznę.

Kiedyś na nasz blok czymś staraniem wrzucono troszkę sweterków. Siedziałam w koi, tak w rogu, bo dziewczęta dobiegły do tego, żeby brać. Myślę sobie – jeszcze mam swoją sukienkę, a swoją sukienkę zachowałam mimo parówek różnych. Kiedyś jeszcze swój kożuszek miałam, ale zrobił się taki malutki, że dwuletnie dziecko w niego wchodziło: tam jedno dziecko nosiło ten kożuszek. W każdym razie siedziałam tak sobie na tej pryczy i kobieta, która pilnowała wejścia do bloku, rzuciła we mnie sweterkiem, bardzo ładnym. Amarantowy kolor z wyrobieniami, no po czymś dziecku. Rzuciła we mnie ten sweterek. Odwróciłam go na drugą stronę... On nie był amarantowy, tylko prawie biały, w kropeczki. To były trupy wszy, które kogoś tam jadły strasznie. Było tego bardzo dużo. Siedziałam mozolnie i wyskubywałam je ze sweterka. Ten sweterek zrobił się bardzo puchaty z tego powodu, bo to wełna i to się wyciągało, ale miałam już ciepły sweterek. Później zdobyłam jakąś kapotkę. Ciocia za porcję chleba kupiła mi majtki. No i już miałam cieplejsze ubranie.

Czy docierały do Was jakiekolwiek informacje ze świata? Czy wiedzieliście, że ktoś za granicami interesuje się losem więźniów obozów?

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem był czas, może ze cztery tygodnie. Daty, godziny – tego się tam nie znało po prostu. Niektórzy znają daty, może jakieś kalendarzyki mieli, ale ja nie znałam dat ani godzin. Właśnie przed Bożym Narodzeniem przyszła Komisja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Myśmy miały wszystkie siedzieć na pryczach. Oni przeszli wzdłuż bloku z jednej strony pieca, z drugiej strony pieca. Przeszli między nami. Nie pytali nas o nic, ani jednym słowem. W ogóle. Rezultat tego był taki, że na drugi dzień dostaliśmy po raz pierwszy – jeden raz – jedną kostkę cukru. To był rezultat komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża – tak nam pomogła. A podobno nikt na świecie nie wiedział, że są obozy koncentracyjne i że dzieci polskie są w obozach koncentracyjnych. Przecież to były dzieci polskie, bo już o żydowskich to wszyscy wiedzieli. O tym, że dzieci polskie, warszawskie, zamojskie były w obozach koncentracyjnych to mało się o tym wie i mało się o tym mówi.

Co się działo po świętach Bożego Narodzenia? Obóz został wyzwolony pod koniec stycznia. Niemcy wiedzieli przecież, że front jest już blisko.

Któregoś dnia stycznia, przyszli na barak i zaczęli wyczytywać nasze numery, między innymi mój numer, ale nie byłam w pierwszej grupie. Mój numer wyczytano w którejś kolejnej grupie. Mieliśmy ustawić się przed blokiem. Nie wiedziałam, co z ciocią. Kiedy wyszliśmy wyszła również ciocia, była w tej samej grupie. Cieszyłam się, że pojedziemy razem. Wyprowadzono nas, poszliśmy na inny lagier, wchodzimy do baraku, a tam są te czerwone koce na stosach, te, które nam zabrano, widocznie nikomu ich nie dano, co za perfidia. Porozbierałyśmy te koce, powchodziłyśmy na prycze i przykryłyśmy się tymi kocami. Koce były trochę wilgotne i bardzo zimne. Taka się para zrobiła w baraku, że się nawzajem nie widziałyśmy, tak parowałyśmy. Trochę się przespałyśmy, potem na dworzec do Oświęcimia. Na dworcu dano nam po kawałku chleba i jakąś szarą paczkę, płaski pakuneczek, nie wiedzieliśmy, do czego to jest. Dopiero w nocy, kiedy w pociągu było bardzo zimno, otworzyłyśmy ten pakuneczek. To była torba z szarego papieru, w środku wysmarowana smołą. Weszłam w tę torbę i było mi ciepło i za mną wszystkie inne powchodziły w te torby.

Dokąd Was wywieziono?

W tych torbach dojechałyśmy do Berlina. Stamtąd przewieziono nas kolejką, czy może metrem (pierwszy raz zobaczyłam tam ruchome schody) do Blankenburga. To była filia obozu Sachsenhausen.

Było tak samo jak w Auschwitz?

W Blankenburgu były lepsze warunki życia. Nie było tych ogromnych sztab, każda miała dla siebie wążatkę pryczę, kobieta na dole, dziewczynka na górze. Stamtąd zabrano nas do kąpieli, a potem na zapisanie. Zrobiona nam fotografie z blachami, na których były numery. Dano nam nowe numery. Miałam numer 3689A. Później każdy, i kobieta i dziewczynka, musiała przejść z podniesionymi rękami, po wygoleniu wszystkich części ciała, włosów na głowie nie, tylko innych części ciała. Przechodziłyśmy przez takie nie bardzo duże pomieszczenie, tam siedziało kilku Niemców, rozpartych na fotelach, trzymali kije w rękach. Jak przechodziły kobiety, nie dziewczynki, koło nich, z podniesionymi rękami musiały przejść przed nimi, to oni tymi kijami, takimi z półtora metra, grzebali w miejscach intymnych tym kobietom. Rechotali, śmiali się, drwili. Podnosili tymi kijami piersi. Nie powinnam Wam chyba tego opowiadać, bo to jest... Wstyd mi za ludzi, że są skłonni robić takie rzeczy, że można do tego stopnia kogoś poniżyć.

W Blankenburgu umieszczono nas na stałe. Dostałam „Abeitskarte” z moim podpisem i odciskami palców. To był międzynarodowy obóz. Byli tam Francuzi, Włosi. Nas pędzono do pracy, do Berlina, ja też poszłam, bo od 10 roku życia trzeba było pracować. To była tak zwana „SS Baubrygada”. W Berlinie, na którejś ulicy postawiono mnie do budowania barykady. Wiecie, jak ja to przeżyłam? Ja, dziewczyna z Powstania Warszawskiego, ja mam budować barykady w Berlinie?! To było co innego niż myśmy robili, u nas było znoszenie wszystkiego co się dało, tutaj była taka kratownica z szyn i w to się wsypywało gruz. Ja miałam taczkami wozić ten gruz, one były tak ciężkie, że nie mogłam ruszyć, one miały jechać po tych szynach. Jak się szyny zasypało gruzem, to ktoś zalewał je cementem, potem nowe szyny, nowy gruz, aż pod wiadukt. To było z jednej i z drugiej strony, między tym był taki wąski przesmyk, gdzie Niemcy chodzili. Muszę powiedzieć, że podkładali tam czasami kawałek chleba, czasami jakąś marchewkę, czy coś takiego.

To była bardzo ciężka praca. Te taczki były dla Ciebie na pewno za ciężkie?

Oczywiście, ja nie mogłam sobie dać z nimi rady, więc przestałam chodzić do pracy. Nie miałam już ochoty chodzić do tej pracy, więc rano się schowałam i nie poszłam do pracy, a jak nie poszłam, to nie dostawałam jeść, bo po pracy się dostawało kartkę na jedzenie. Dzieliłyśmy się jedzeniem z cicią, ale ona przecież szła do pracy, musiała jeść.

To jak zdobywałaś jedzenie?

Zaczęłam spacerować trochę po tym obozie, tam nie była ogłaszana blokszpera. Chodziłam więc i spod kuchni, w której gotowano dla Niemców, wybierałam obierki od ziemniaków, liście kapusty, obierki buraków. To, co znalazłam, czyściłyśmy w tym naszym pomieszczeniu, z koleżanką Dzidzią Lipską.

Dzidzia była młodsza ode mnie. Stała na czatach, żeby nas nikt nie złapał. Ja w tym czasie wybierałam te obierki, albo wskakiwałam do takiej szopy przez okno, znajdowałam tam brukiew (tylko ta brukiew była bardzo zgniła, a zgniła brukiew jest mazią dosłownie). Wybierałyśmy te obierki, a tego robić nie było wolno. Kiedyś zobaczył nas kucharz, zobaczył i schował się. Myśmy myślały, że to dobrze, zbieramy dalej, a Dzidzia krzyczy do mnie, że kucharz znów wychodzi. On wyszedł z wiatrówką czy inną strzelbą i zaczął strzelać nam w nogi, w te bite, odmrożone nogi. Strzelał, robił sobie z tego zabawę, my uciekałyśmy, a on w nas strzelał pociskami z soli, nie zabił, nie zrobił jakiejś wielkiej krzywdy, ale... Jak wróciłyśmy do baraku, to od razu nogi pod wodę, dużo, jak najwięcej wody, żeby wypłukać, to co weszło w skórę, bo on strzelał tylko w nogi. Mimo wszystko, chodziłyśmy i zbierałyśmy te obierki. Później czyściła te obierki jej mama i moja ciocia. Kładłyśmy je do takiej puszki. Między schronami, na dworze, przygotowane były takie ruszty, tam można było coś palić i tam można było coś gotować. To było przygotowane do tego, żeby gotować sobie bieliznę, ubrania, zagrzać wody do mycia, a nie do gotowania takich rzeczy.

Wszyscy gotowali tam, co kto mógł, co zdobył. Żeby nie było widać, co robimy, kładłyśmy na te obierki szmatę, to wyglądało, jakbyśmy gotowały jakąś tam szmatę. Któregoś dnia przyszli żołnierze, odsunęli nas, a te ruszty takimi drągami wyrwali i to się wszystko wylało, wysypało z tych puszek. Ten żołnierz, który to robił, szedł po tych puszkach, po tym, co się wysypało, a tam u kogoś jakiś kawałek mięsa nawet był, u kogoś były całe kartofle, a on po tym deptał. Doszedł do naszej puszki, a tam były te obierki, ominął je, chyba zrobiło mu się wtedy żal. On się troszeczkę speszył, gdzieś ta ludzkość była. Jaka dysproporcja, on musiał to zrobić, ale odezwano się w nim coś ludzkiego.

Tam u nich wszystkie śmieci układane były, poszłyśmy z Dzidzią, leżały tam butelki z ciemnego szkła. Wzięłyśmy po tej butelce, żeby mieć na noc wodę do picia. Kiedy były naloty, to ze zdenerwowania strasznie chciało się pić. To były takie butelki jak od piwa. Kiedy je wzięłyśmy to wyszedł już nie kucharz, ale führer z innym nadzorcą, który mówił po polsku, mówiłyśmy na niego „ten w skórze”, z psem. On kiedyś, wcześniej nasał na nas psa. Ja upadłam, Dzidzia się zatrzymała, podniosłyśmy się, a ten Niemiec, dorosły mężczyzna, pięścią w twarz, w ucho, uderzył jedną i uderzył drugą. Rozsierdził się tym, że wzięłyśmy te butelki. Dzidzia znalazła niemiecki i mówiła, że on nam tłumaczył, że działamy na szkodę Rzeszy Niemieckiej, że jesteście wrogami Rzeszy Niemieckiej, „banditen Warschau”. Wiedział, że my

jesteśmy te z Warszawy, krzychał na nas. Z tej złości, cisnął tymi butelkami w stos tamtych, kiedy się tamte potłukły, to znowu zaczął nas bić, ale nie poszczuła już nas tym psem, uciekłyśmy.

Jak byliśmy głodne, to śpiewaliśmy bardzo długą piosenkę „Wołgę”, „Jurka Biczana” i inne religijne, nie chciało się wtedy tak jeść.

W tym czasie z Auschwitz przyjechały nasze pieniądze, moje i ciotki, które tam nam zabrano. Nie zwrócili nam ubrań, które by bardziej się nam przydały, innej grupie zwrócili ubranie, innej biżuterię, a nam warszawskie pieniądze. Zaczęła się tam jakaś awantura i oni dali nam za to ileś tam marek. Za te marki mogłyśmy kupić ciemne piwo i lemoniadę, to było wszystko, co można było kupić. Z koleżanką zrobiłyśmy taką dziurę w siatce, to nie były naelektryzowane druty, przeszłyśmy do miasta i poszłyśmy do sklepu.

Mogłyście wychodzić z obozu?

Kilka razy udało nam się wyrwać z obozu. Udawałyśmy, że nie jesteśmy z obozu, a to przecież było widać Tam, za marne grosze, kupiłyśmy trochę sałatki jarzynowej z ziemniakami, ale to była odrobina, bo nie miałyśmy dużo pieniędzy. Za którymś razem kupiłyśmy buraki i powkładaliśmy je sobie za kapotkę, żeby nie było widać. Szedł oddział Hitlerjugend. Zobaczyli nas. My miałyśmy naszywki na plecach, ogolone głowy. Kiedy nas zobaczyli, okrążyli nas i zaczęli rzucać w nas kamieniami. I jedno to było to, że rzucali w nas kamieniami, a drugie to, że te buraki nam się obijały o nogi (jak zwykle poranione), każda z nas miała po trzy buraki w kapotce ukryte. Uciekłyśmy. Któregoś dnia wyszłam sama. Był tam taki szeroki plac, był kwiecień, słońce świeciło, zobaczyłam, że rosną tulipany przy domach, zachwyciło mnie to. Tam były małe domki, ale były też kamienie. Przy tej kamienicy rządkiem tulipanów. Ja mówię: „Boże mój! Tulipany rosną?!” Nie wyobrażałam sobie, że jeszcze coś na świecie jest, że można zachwycać się kwiatami. Jak urzeczona patrzyłam na te tulipany, poczułam się taka lekka, że ani nie czułam tej ciężkiej kapoty, ani tych butów, których prawie nie miałam, ani tych podmrażanych, poranionych nóg. Leciuteńko przebiegłam sobie przez ten plac i postarałam się jakoś dostać do obozu, już normalną drogą. Ścieżką, koło dziadka, który tam pilnował z psem, ale ten pies jakiś taki łagodny, dziadek też łagodny, wpuścił mnie i tamtędy przeszłam do obozu.

Nad nami zaczęły się walki powietrzne, front się zbliżał, już nie było ogłaszanych alarmów. Ktoś rzucił pogłoskę, że na nasypie jest pociąg z ziemniakami. Wszyscy poleciliśmy po te kartofle, ja też, to było pod górę, po tym nasypie się wdarłam. Przy tych kartoflach siedzieli Niemcy, ale nic nie mówili, kiedy braliśmy te kartofle. Nabrałam tych kartofli w fartuszek i taką torebkę, może kilogram, może dwa, dużo, bo przecież tyle miesięcy nie było kartofli. Schodziliśmy z nasypu, dużo nas było, mężczyźni, obcokrajowcy, schodziliśmy z nasypu, przeszliśmy przez taki żywopłot, a tam karabiny naprzeciwko nas stoją, co pół metra, co metr. Kartofle rzuciłam w te krzaczki, ale mimo to, wszystkich nas zapędzili do szopy. Niektórzy mówili, że mają tę szopę podpalić, razem z nami. Znowu strach, obawy, chociaż ja już byłam wtedy otepiała na to wszystko. Wtedy, znów się zaczęła walka powietrzna, Niemcy uciekli, bo się tego bali. Mężczyźni jakoś sforsowali drzwi tej szopy, więc uciekliśmy. Moja ciotka stała na otwartej przestrzni i załamywała ręce, pytała gdzie jest i co się z nią dzieje. Krzychałam, że musi się położyć, padła koło mnie. Podniosłam trochę głowę i zobaczyłam niemieckie i rosyjskie samoloty. To było widowisko, było wtedy ładne słońce, ładna pogoda. Niemcy gdzieś zniknęli, zupełnie ich nie było. Kiedy ta walka się skończyła, wróciliśmy po te kartofle. Nawet udało nam się trochę ugotować tych kartofli. Wtedy pojawiła się czujka, przyjechał czołg rosyjski, wysiadł z niego młody, brudny chłopak i powiedział, że już będziemy mieli wolność.

Niemców już nie było? Zdążyli uciec?

Niemców wymiotło zupełnie. Ten czołg wycofał się, bo to chyba tylko zwiad był. Jak tylko Rosjan nie było, to Niemcy znów się znaleźli. W tym czasie, kiedy było trochę wolności, ludzie polecili do magazynów i zaczęli brać żywność. Niemcy zaczęli wszystkich wypędzać na rozwałkę, tych co brali jakąś żywność. Ja zdobyłam, w jakiś sposób, od kogoś (sama nie byłam w tych magazynach, nie wiem czy moja ciotka była, bo ona była bardzo strachliwa, bała się o mnie) w takim okrągłym pudełku trochę cukru. W schronie usiadłam na tym pudełku. Mieli rozstrzeliwać tych ludzi, którzy mieli jedzenie, tam były jakieś pasztetowe i w tym momencie przyjechała cała grupa czołgów, więc Niemcy znowu się pochowali. Rosjanie ich aresztowali.

Niemcy nie zdążyli nikogo rozstrzelać?

Na szczęście nie zdążyli. Przyszli Rosjanie i powiedzieli, że tu jest przejazd kolejowy, wiadukt, że tu na pewno będą ciężkie walki i żeby rano, jeszcze pod osłoną nocy, wyjść z obozu. Wyszło chyba ze 40 osób, dziewczynki i kobiety. Słysyśmy, bo nam kazali w tę stronę iść. Z każdej strony leciały kule, to było w nocy, takie ogromne kule latały w powietrzu, wszystko na nas. Biegłyśmy i słychać było jak te kule uderzają o schrony, później już nie biegłyśmy, bo nie miałyśmy siły, szłyśmy. Ja wzięłam tylko jakiś koc z baraku. Kiedy poszłam po ten koc, to o mało nie zginęłam. Na szczęście, nie chciało mi się wracać do drzwi, tylko wyskoczyłam przez okno, bo było bliżej do schronu, a w tym czasie w te drzwi uderzył pocisk. Kiedy usiadłyśmy w rowie, żeby odpocząć, to zostawiłam ten koc, bo nie miałam siły go nieść. Tak szliśmy aż do

Bernau, to jest chyba ze 40 kilometrów, no nie wiem, może mniej. Mijaliśmy te czujki i tylko: „Dobrze, dobrze, wpięro, wpięro”..

Wiedziałaś dokąd macie iść, co macie robić?

My w ogóle nie wiedzieliśmy, gdzie mamy iść, ja nawet nie wiedziałam, gdzie jest front. Rano w Bernau pozwolono nam wejść do domów. Tam nie było w ogóle Niemców, widać było, że odeszli dosłownie od stołów, bo były zastawione, zastawione suto. Można było jeść, ale człowiek nie do tego miał głowę, żeby jeść w czyimś domu, z czyjegoś domu brać, mimo wszystko nie. Później jak szliśmy pod wiaduktem w Bernau, to tam było tyle trupów. Boże, ile tam było zabitych, Niemców w białych koszulach. Rosjanie chyba swoich sprząkali i Polaków też. W rowach było mnóstwo zwłok, tak blisko byliśmy frontu, że jeszcze nie zdążyli posprzątać. Później poszliśmy dalej, w stronę wsi. Zebrałam z ziemi trochę ziemniaków. Opowiadałyśmy sobie w obozie, że już nic nie będziemy chciały jeść oprócz ziemniaków ze słoniną i zacierką na wodzie. Tylko o tym się marzyło, żeby mieć jedną sukienkę na niedzielę, a drugą na co dzień, nic więcej, tak sobie przyrzekałyśmy. Podniosłam te kartofle i wzięłam. Z samochodu ciężarowego krzyczy na mnie Rosjanin, że mam je wyrzucić. Pomyślałam, że tamci mogli, bo to był wróg, a ci? Nie oddam tych kartofli, dlaczego ja mam je oddać? On wtedy wziął z dorosłych jakąś kobietę i powiedział, że to, co leży na dworze, może być zatrute. On przecież nie wiedział, czym ja jestem dzieckiem, czy polskim, czy rosyjskim, czy... Ten odruch człowieczeństwa znowu mi się jawi. W tych różnych nieszczęściach ja widzę tych ludzi prawdziwych. Przywołał mnie do siebie i dał mi bochenek chleba i słoik pasztetu, w takim zawekowanym słoiku. Weszliśmy do jakiejś kuchni. Przyszli do nas polscy żołnierze, przynieśli nam zabite kury, kaczki, nawet barana ściągnęli.

Zjadłam troszkę tego gotowanego rosółu, z tym jednym ziemniakiem i w nocy się strasznie rozchorowałam. Na szczęście, w tym domu, w którym się zatrzymaliśmy, była radiostacja rosyjska i tam była niemiecka kobieta, matka właściciela tego domu, którą tam zostawili (oni się gdzieś wynieśli stamtąd, a ją zostawili), ona pewnie była głodna i zaczęła krzyczeć: „Wilhelm, Brout, Brout!!” Ci Rosjanie, niewiele myśląc sprowadzili ją na dół, do nas, a nie wiedzieli, że my jesteśmy. Otwierają drzwi, a my tam jesteśmy, na podłodze w kuchni, śpimy, leżymy, a ja w malinie. Jak zobaczyłam tę kobietę na wózku, strasznego krzyku narobiłam. Oni się spytali, kim my jesteśmy, skąd, my mówimy, że z obozu. Za jakiś czas przyszedł lekarz i powiedział, że nie mamy prawa tyle jeść, nie wolno nam, możemy tylko po łyżeczkę. Wskazał na mnie i powiedział, że ja już do końca życia będę miała chory żołądek. Mówił, że wolno nam jeść po łyżeczkę, po troszeczkę, bo jesteśmy wygłodzeni. Dał mi jakieś leki i wyszłam z tej gorączki, na drugi dzień już nie było kłopotu, ale mogło się źle skończyć.

Potem szliśmy piechotą, potem rosyjskim samochodem z dwiema przyczepami. To był samochód, który wiozł amunicję, a wracał bez amunicji, więc chojrak Rosjanin nabrał sobie ludzi na tę drugą przyczepę, ona się tak kołysała. Mało nie powypadaliśmy.

Jechaliście już w stronę Polski.

Dowiózł nas nad Odrę, a przez Odrę przewiózł nas już inny, bo tego nie puścili. Przez Odrę po tym pontonie nas przewieźli. Najpierw znaleźliśmy się gdzieś w Lancbergu, a potem w Kostrzynie. Z Kostrzyna na lorkach do Poznania. W Poznaniu już był Czerwony Krzyż, już nas zapisał. W Czerwonym Krzyżu dano nam, mi i ciotce, 150 złotych i do pociągu. Pojechaliśmy do Warszawy.

Wróciłaś.

Tak. W Warszawie, oczywiście, naszego domu nie było, ciotki domu nie było, drugiej ciotki domu też nie, była tam tylko kartka: „Leokadia Celejewska z Alicją i Jerzykiem mieszkają na Krzyżanowskiego 43”. Poszliśmy pod ten adres. To była facjatka w domu, który nie uległ zniszczeniu, ale nie był wykończony przed wojną. Było tam takie pomieszczenie jakby pralnicze, ze skośnymi belkami. Tam się zatrzymałyśmy. Była tam ulepiona z gliny kuchenka. Zaczęłyśmy gotować kawę i nosić rabarbar, sprzedawałyśmy to na dworcu. Ja trochę zaczęłam reperować czyjeś pończochy.

Wiedziałaś, co się stało z resztą Twojej rodziny? Z Twoim ojcem, bratem?

6 sierpnia 1945 roku mój ojciec wrócił. Zabrano go z kościoła św. Wojciecha do ładowania maszyn wywożonych przez Niemców z Warszawy. Oni pakowali te maszyny, ale zanim to zrobili, to nasypali piasku, albo zrobili inne uszkodzenia, zanim Niemcy się zorientowali. W październiku wszystkich wypędzono z tej fabryki i wywieziono na okopy. Ojciec znalazł się na okopach, już było mroźno i tam został uderzony jakąś belką w głowę. Odnowiła się ta powstańcza kontuzja. Niemcy zostawili go na polu. Po dwóch lub trzech dniach leżenia w tym błocie znalazł go właściciel tego pola, razem z synami zataaszczyli go do swojego gospodarstwa, do stodoły. Kiedy się ocknął, napoili go i nakarmili i zapytali go czy mówi po niemiecku, ojciec znał niemiecki, mogli się porozumieć. Spytali się, czy ojciec zna się na pracy na roli, a ojciec się znał. Ojciec został w tym gospodarstwie, miał tam dobrze, miał co jeść, a po pewnym czasie siadał do stołu razem z gospodarzami. Kiedy odchodził od tego bauera, to ten bauer jeszcze go wyposażył, dał mu dużo rzeczy na drogę. Ojciec mu opowiadał, że ma dzieci.

Wtedy były robione przez Amerykanów obozy przejściowe. Tam mu wszystko zabrali i tam była agitacja, żeby nie wracali do Polski, ale ojciec chciał wrócić i wrócił. Przywiózł dla mnie obrus na sukienkę, kremowy, bo ja nie miałam w czym chodzić i woreczek sucharów, bo martwił się, że my tu nie mamy co jeść i rzeczywiście tu nie było wtedy dobrze. Ale jak ojciec wrócił to za dwa dni poszedł do ministerstwa, zgłosił się do pracy, a ponieważ w czasie okupacji nie pracował u Niemców, to go od razu przyjęli. Już wtedy przyniósł mi ciepły materiał na sukienkę, wełnę, żeby zrobić sweter.

Po pewnym czasie dostaliśmy przydział na mieszkanie. Tutaj, w tym małym pomieszczeniu mieszkało nas jedenaścioro, cała rodzina mojej bratowej, ciotka z wnukiem i my.

Gdzie było to nowe mieszkanie?

Ojciec dostał mieszkanie na Lesznie pod numerem 6 i wziął ze sobą moje ciotki, swoje siostry. Pierwsza oficyna była zburzona, my dostaliśmy mieszkanie w drugiej oficynie. Mieszkanie miało wejście kuchenne, było sześciopokojowe. Byliśmy trochę zdziwieni, bo przed wojną to było luksusowe mieszkanie, miało sztukaterie na suficie, podłogę z różnokolorowej klepki, piękny kaflowy piec z kutymi, żelaznymi drzwiczkami. Mieszkało już tam kilka rodzin bez żadnego nakazu, to byli tak zwani dzicy lokatorzy. Ale kto by kogokolwiek wyrzucił wtedy? Ojciec powiedział im tylko, że muszą nam dać któryś pokój. Zachowali się ładnie, bo dali nam największy pokój, tylko, że przez ten pokój wszyscy chodzili do łazienki. Później zrobiliśmy tam takie przegrodzenie z papierów. Tam się nie zamykało, bo przecież nie było co kraść.

Robiliśmy sobie meble z cegieł, które owijaliśmy papierami. W salonie, w tym pokoju, w którym mieszkaliśmy, stała koza. Łazienka była piękna, z wanną na środku, można było tam mieszkać. Później wprowadziła się jeszcze jedna rodzina do kuchni. Ze wszystkimi bardzo dobrze żyliśmy. Kiedy obok zaczęła walić się oficyna, wchodziliśmy do domu przez gruzy. To był przed wojną budynek chyba siedmiopiętrowy, a zostały 3 piętra i fragment czwartego, na którym później zamieszkali ludzie. Ustawialiśmy kafelki od pieca odwrotną stroną, bo miały takie wgłębienia, na suficie, żeby nie lała nam się woda, bo jak padał deszcz, to ciekło przez te wszystkie sztukaterie, na tę piękną podłogę. Wyobraźcie sobie: tu piękna podłoga, sztukaterie, a tu koza i szafa z desek owiniętych papierem.

Mieszkanie w takich zrujnowanych budynkach musiało być niebezpieczne. Czy zaczęliście je jakoś naprawiać, odbudowywać?

Kiedyś zerwał się wiatr, a tam sterczał tylko komin i ten komin zaczął się chwiać. Po wojnie domy się waliły, bo były za słabe. Tak zginął nasz sąsiad, balkon się nad nim urwał. Mój kolega też tak zginął, kiedy podczas burzy zawalił się dom.

Komin zaczął się bardzo chwiać, więc my – wszyscy lokatorzy, poszliśmy na noc na drugą stronę. Ten budynek jeszcze stoi, do teraz, to jest budynek Urzędu Wojewody. Tam był duży hol, schody, tam nam pozwolono spać, tam był żołnierz pilnujący tego budynku. Wtedy to nie był Urząd Wojewódzki, ale dyrekcja Państwowego Monopolu Spirytusowego. Rano mężczyźni poszli do naszego domu i cegielka po cegielce, rozebrali ten komin.

Tak się zjednoczyliśmy, że złożyliśmy się, żeby okryć dach. Zebraliśmy pieniądze, zapłaciliśmy komuś i dachu nie zrobił, rzekomo starał się o azyl polityczny gdzieś tam, a to był zwykły oszust. Jeszcze raz zebraliśmy pieniądze i wzięliśmy zwykłego człowieka, który ten dach zrobił, a nie ważnego pana inżyniera. Oficyna obok się zarwała i zginęły dwie kobiety. Sami zrobiliśmy dróżkę, żeby nie wchodzić po gruzach. Kilka niedziel te gruzy uprzątaliśmy. Znaleźliśmy nawet studzienkę z wodą, więc nie musieliśmy już nosić wody z daleka. Ponieważ nasz dom groził już zawaleniem, przenieśli nas na Muranów. Tylko my mieliśmy nakaz, ale spytali czy to jest wszystko rodzina i czy chcemy wszyscy mieszkać w jednym mieszkaniu. Powiedzieliśmy, że każdy chce w osobnym i każdy dostał swoje mieszkanie na Muranowie. Bardzo dobrze ze sobą żyliśmy, bywaliśmy u siebie, żyło się po sąsiedzku, jak się wyjeżdżało na wakacje, to zostawiało się klucze.

Ojca odnalazłaś, a co z Zenkiem? Kiedy dowiedziałaś się, że nie żyje?

Jak wróciłam, to zaraz zaczęłam go szukać, zaczęłam się czegoś dowiadywać. Pamiętałam, że on chciał mnie zabrać do jakiejś szkoły, więc poszłam do tej szkoły, tam go szukać. Niczego się tam nie dowiedziałam, bo część szkoły zburzył wybuch bomby. Poszłam dalej i spotkałam babcię kolegi mojego brata, babcię braci Zawadzkich, Heńka albo Wojtka, nie pamiętam i Jurka, to pamiętam, bo to był kolega mojego brata. Od niej się dowiedziałam, że tu, na terenie Fabryki Pfeiffra zabili ludzi. Przyszła grupa powstańców, z dziewczyną, która była z nimi, kilkanaście osób, pochowali się w garbarskich kotłach, na terenie fabryki. Schowali się przed Niemcami, bo chcieli się przebijać dalej. Mój brat się podobno nie schował, bo był z tą dziewczyną i jeszcze tam z innymi i zostali w podwórku fabryczki chemicznej. Tam była taka mała fabryczka chemiczna, w której mieszkała ta babcia, która nam o tym wszystkim opowiedziała. Usiłovali się bronić jak doszli Niemcy, ale to było beznadziejne. Było ich tylko kilkoro, nie mieli już przy sobie broni. Kiedy Niemcy weszli i ich zrewidowali, to znaleźli u tej dziewczyny finkę harcerską i za to wszystkich wzięli. Później kobiety zaczęły płakać i te kobiety zostawili.

Mężczyzn wzięli na drugą stronę do tej fabryki Pfeiffra. Kobiety zaczęły krzyczeć, więc tę dziewczynę puścili, wszystkich mężczyzn zabrali i rozstrzelali. Ta babcia pokazała mi gdzie to się stało, poszłam tam i leżały tam zwłoki, osiem czy dziewięć osób. To był stos zwłok na podwyższeniu i przysypane to wszystko piaskiem, który już stwardniał. Wystawały ręce albo nogi, rąk jakoś nie mogłam... Spojrzałam na jeden but i pomyślałam, że to chyba jest but mojego brata. Zaczęłam to wszystko odgrzebywać i zobaczyłam skarpetkę, którą zrobiłam mu na drutach. Wtedy już wiedziałam, że to mój brat. Poprosiłam dozorcę tej fabryki, żeby zawiadomił mnie, kiedy będzie ekshumacja. Poszłam do Czerwonego Krzyża, rozmawiano ze mną, ale o ekshumacji nikt mnie nie zawiadomił. Kiedy wrócił ojciec, zabrałam go w to miejsce, ale już było po ekshumacji. Szukałam w Czerwonym Krzyżu, zgłosiły się rodziny, które były przy ekshumacji. Zgłosiły się rodziny, które wzięły rzeczy, które poszły do depozytu. Wszyscy znaleźli, a my byliśmy już za późno i nic nie znaleźliśmy. Poszliśmy do kilku z tych rodzin, ale nie chcieli nic pokazać, może się bali mówić o AK? Nie wiem czy mój brat miał przy sobie jakieś rzeczy. Ta staruszka, ta babcia, mówiła, że widziała jak z jego marynarki wyciągnęli dowód.

Pierwszy raz opowiedziałam o swoich przeżyciach ojcu. Wieczorem tego dnia, kiedy wrócił, po wszystkich swoich opowieściach zapytał: „Jak się wam powiodło od chwili naszego rozstania, pewnie byłyście gdzieś na wsi i miałyście co jeść”. Wtedy powiedziałam: „Tatusiu nas wywieźli do Auschwitz”. Ojciec zbladł, spuścił głowę i powiedział: „Córeczko, Liluniu, to dlaczego cały dzień nic nie mówiłaś, kiedy ja ci opowiadałem te „głupstwa” o sobie. Przecież to jest nic w porównaniu z tym, co ty przeżyłaś. Jak oni mogli tak skrzywdzić moją rodzinę, tak skrzywdzić moje dzieci. Tego im nie zapomnę”. „Ja też nie” – powiedziałam. I musiałam wszystko opowiedzieć mojemu ojcu, który prosił, żeby go nie oszczędzać i mówić wszystko. Wiele wieczorów opowiadałam. A potem wiele lat nie mogłam opowiedzieć tego nikomu.

*Rozmawiali:
Agnieszka Rudak
Jan Rudak*